

**WĘDRÓWKI
LITERACKIE.**

FANTASTYCZNE I HISTORYCZNE

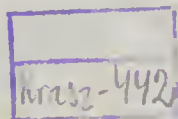
p r z e z

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Wilno.

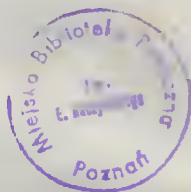
**w Drukarni S. Blumowicza w Domu JO. Xięcia
Ogińskiego przy Ulicy Rudnickiej.**

1840.



Dozwala się drukować pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożona była w Komitecie Cenzury liczba exemplarzy Ustawą przepisana. Wilno 1837 d. 31 Paździer.

Cenzor, Leon Borowski.



I.

WYCIECZKA NA WIELKI ŚWIAT WIELKIEGO MIESTA.

M A C I E K I MACIUŚ.

Come mai il genio turpe della volgarità,
ch'è dissacratore d'ogni egregia cosa,
non farebbe supramente nemico della virtù
della donna ed annoio d'avvilirla?

Silvio Pellico. Dei Doveri Cap. XIX.



MAGINE I MAGIUS.

I.

BOGATY I UBOGI.

W pałacu Hrabiego obchodzono Imieniny. Bogaci szukają tylko powodu do balu i zabawy, bogaci tak się nudzą, że nie raz oddaliby pół majątku za to tylko, aby mieć żądanie— a ubodzy! ubodzy daliby pół życia, żeby choć jedno z tych żądań, które leżą w ich sercach zapomniane od losu, żeby choć jedno spełnić się mogło. — Ale bogactwa i życie nie są to jeszcze odpowiednie szczęściu ofiary, kto chce być szczęśliwym, nie tu szczęścia szukać powinien, ale dalej, wyżej, później.

Otoż Hrabia dawał bal na swoje Imieniny, było to na Ś. Jan, w Lipcu czy w Czerwcu, nie pamiętam — na tym balu było wiele osób wiele twarzy, a wszystkie wesołe,

uśmiechające się, szczęśliwe. — Każdy zapominał o jutrze, dla dnia dzisiejszego, ładne kobiety uśmiechały się, wino drogie, dobre, stare, pachnące, lało się wszędzie bez ustanku, stoły zastawione były potrawami, które by umierającego z niestrawności wskrzesiły.

Nie jedna butelka, nie jeden półmisek, kosztował tyle, ile rok życia ubogiego nie kosztuje. — Co za różnica tych ludzi, ubranych, wesołych, uśmiechających się, kłamiących i wierzących sobie; od tych którzy o kilka kroków zamtąd na zimnym bruku, w łachmanach, głodni, przeklinając siebie i bliźnich, — prosili Boga — o życie!!

Życie?? jest że to rzecz tak droga? tak wiele warta??

Życie? — nie jest że to cierpienie?

Życie? — nie jest że to sen duszący i niezrozumiały?

Życie? nie jest że rzecz, której nie pamiętamy początku, nie wiemy końca i nie znamy celu?

Życie!! a jednak ubodzy proszą o nie, a nikt prócz filozofa i szaleńca nie odda go bez żalu, choć go bierze nie prosząc.

U Hrabiego obchodzono Imieniny —!

Hrabia był człowiek młody, wdowiec, przy nim mieszkali, matka jego i siostra, istoty

bez ruchu, myśli i działania — Hrabia był w nadziei ożenienia się raz drugi, młody, bogaty, przystojny, chciał się ożenić, nie dla miłości, nie dla kobiety, nie dla pieniędzy, ale dla tego tylko że wszyscy byli żonaci, więc trzeba było naturalnie i jemu się ożenić.

Wszak i cieleśta zawsze biegną w tę stronę, którą pierwsze z nich obierze. Nie chcę przez to powiedzieć że Hrabia był ciełe — nie — byłyby to impertynencja z mojej strony, to tylko ma znaczyć po prostu że ludzie i cieleśta w wielu rzeczach zgadzają się na zasady.

Narzeczona P. Hrabiego, to jest ta którą był obrał, nazywała się Fantazja, była młoda, od lat dziesięciu, spokojna i łagodna kiedy spała, żywa i wielomówna we dnie, piękna bardzo wieczorem, lecz charakteru tak niepojętego, żądań czasem tak dzikich, że jej nikt pojąć i zrozumieć nie potrafił. Czytała wiele i to zapewne było powodem zmian nagłych w jej charakterze, żądaniach i zdaniu. Są bowiem osoby, które posiadają skłonność zlewania się z autorem lub jego myślami, do tak wysokiego stopnia, że każda książka, ton i kolor cząstce ich życia nadajc.

Pan Hrabia dawał bal na swoje Imieniny tylko dla tego, że jego Imieniny, były Imieninami matki panny Fantazii. Miał się na tym balu oświadczyć i koło północy po wszystkich pokojach szukał jój, ale znaleźć nie mógł.

— Gdzież jest córka pani? zapytał matki.

— Nic wiem! odpowiedziała staruszka, wzięła swój szal z mego krzesła i poszła —

— W szalu? zapytał Hrabia gryząc usta,

— W szalu. odpowiedziała matka spokojnie.

— W szalu! powtórzył Hrabia pod nosem idąc do dalszych pokoi.

Ale gdzież była narzeczona? Chodziła po ogrodzie, sama jedna?. Nie — nie sama. Z nią był młody chłopiec w wytartej sukni, w starym kapeluszu, bez rękawiczek, z włosami rozrzuconymi i twarzą bladą. Szedł obok niej zamyślony.

Ona uwinięta w szal, milcząca, z oczyma wzniesionymi w niebo darła rękawiczkę.

— Józefie, zawołała, wyszłam z balu, bal 'mię nudzi. Gdyby na nim bawił się cały świat, wszyscy ludzie, o! wówczas i ja bym była wesółą, ale kiedy cząstka tylko bawi się, a więcój daleko płacze, możnaż balować? —

Zapewne, odpowiedział Józef, z nieco szyderskim uśmiechem, ale w chwilach, kiedy ty, kiedy pani się smueisz, tylu się weseli? — to tylko prawo odwetu, kto nie może utulić cudzego smutku, nie pomoże swoją litością... i zamilkł.

— Myslałam o tobie! odezwała się kobieta.

— O mnie! dziękuję — bardzo dziękuję, ze śmiechem odpowiedział mężczyzna. A ja cały wieczór stałem tu pod oknem — widziałem was — ten swiat wesoły, tańczący — Patrzyłem na wasze bogactwa, napoje, jadła, ja który za chwilę wrócę do mojej ciasnej izdebki na czwartem piętrze, do mego łóżka odartego, do brudnych ścian, do mojego dzbanka wody, do moiego nędznego jadła, jakiego by nietknął wasz pies faworyt, a które ja z głodu rozrywam wzdrygając się z obrzydzenia. Ale już nie długo będę się męczył.

— Cheesz się zabić? zapytała Fantazja,

— Nie — ożenię się bogato, odpowiedział Józef, przedam siebie, swoje ciało, swoje serce, duszę, swój czas, swoją wolę, wszystko. — za kawałek chleba za kilka słów przyjaznych.!

— Żenisz się? zapytała poruszona kobieta chwytając go za rękę — i kochasz ją?

— Nie.

I żenisz się.

Żeby nie umrzeć zgłodu i pogardy.

— Mógłbyś pracować!

— Praca nie płaci, jest dość wyrobników.

— Tak więc Józefie, zaprzedasz się i komuż?

— Bogatěj odpowiedział Józef —

— Jest że piękna, kochaż ona ciebie będzież że szczęśliwy?

— Nie patrzę, czy jest piękna, bo nie mam do wyboru, nie wiem czy będę szczęśliwy — ale będę bogaty!

— Biedny! zawołała Fantazja, i ja jestem bogata.

— Ale nie dla mnie — odpowiedział Józef, twoja matka szuka tobie kogo innego, nie takiego jak ja — jak ja — nędzarza.

Fantazja rozsmiała się.

— Słuchaj, zawołała, to zabawnie, i ja idę za mąż.

— Za kogo?

— Za Hrabiego.

— Winszuję i ty się sprzedajesz.

— Nie ja, matka mnie za tytuł sprzedaje — Józiu, zobaczym się po ślubie! będziem szczęśliwi —

— Będziem bogaci! odpowiedział Józef i odszedł.

Fantazja weszła do salonu. Hrabia odprowadził ją do matki.

— Gdzieżeś była, moja duszo?

— Poprawiałam loki w gabinecie odpowiedziała z uśmiechem.



II.

MACIEK I MACIUS.

Józef obejrzał się na oświecony pałac Hrabiego, podniósł głowę i zawołał w duszy.

— Maciek będzie bogaty!

Potém odwrócił się gwałtem od widoku zachwycającego balu, który wyglądał przez otwarte okna, zatknął uszy, aby nie słyszeć muzyki i uciekł do swojej izdebki.

Po ciemnych wschodach wdrapał się na górę, po ciemku wszedł do swojego mieszkania, i otworzywszy okno, żeby odetchnąć świeższém powietrzem, usiadł w niem i spójrzał.

Noc była letnia, miesięczna, noc była roszkowna, noc jaką Adam pierwszą widział w Raju, ubraną w kwiaty, z księżycem na czole, snem na piersiach, z pocałunkiem kobiety na ustach. — O! ta noc taka była piękna, a w pokoiku, na poddaszu u Józia tak było smutno, odarto i nędznie, a w je-

go sercu tak było krwi i łez pełno, tyle rospaczy.

Józio przbiegł myślą całe życie, przypomniał sobie swoją matkę, tulącą go u piersi i swoje zabawki i swoje sukienki — przypomniał sobie, że w ówczas nazywano go Maćkiem, potem, widział w swojej pamięci późniejsze lata, kiedy złoto zawitało do ich domu, kiedy na ich progu bogactwo rozłożyło dywany, na stołach kryształ, po ścianach złoto i srebro. — I przypomniał sobie że w ówczas, nie nazywał się już Maćkiem, ale Józiem. Potem, widział jak dorastał bogaty, jak bogactwo topniało, nikło i po nim następowała, potrzeba, ubóstwo, nędza. Potem nażywał się jak chciał i rzadko kiedy słyszał swoje imię, bo był sierotą.

Potem tysiące młodych wspomnień cisnęło się razem, przyjaciele, kobiety, praca rospusta, złoto, głód, rospacz i nędza — słowem cała jego młodość.

Potem stanął u chwili, którą dzisiaj nazywał i zląkł się swojego serca poszarpanego, swoich nadziei, zamiarów i miłości.

Bo Maciek — Józio kochał bogatą, a nie nie miał, bo musiał dla życia sprzedać siebie tej, którą nie kochał.

— Serce moje, myśli moje, nadzieje!

wszystko oddaję dla złota, wszystko co oddać mogę. Nie lepiejże byłoby cierpieć swobodnym, jak być bogatym a zaprzędanym? — Nie — odpowiedział sam sobie — nie! — będę bogaty jak oni, kupię sobie prawo wybierania rokoszy, prawo do pochwał wszystkich i wszystkich sprzedajnych serc ludzi!

Potém wstał i rozgrzebał przytłony ogień na kominie i poszedł do okna znowu, bo tam go wiódł piękny widok spokojnej, rokosznej nocy.

— Ta noc, pomyślał, ileż to balów pokrywa swoim alabastrowém niebem, ile kochanków, ile słowików, ile nędzy, męczarni, rozpacz, paskudny świat!!... Cierpieć ani być szczęśliwym razem nie można, zawsze koło cierpienia znajdzie się blisko prześmiwająca go rokosz, koło rokoszy trująca ją cierpienie.

I Maciek poszedł znowu do ognia, nachylił głowę i żegnał swoją nędzną izdebkę, w której tyle nocy bezsennych przetrawił, żegnał ją, bo miał być bogatym.

Żegnał wszystko — i kominiek który tyle dni go ogrzewał, oświecał tyle nocy — i łóżko na którym próżno snu szukał, i ściany na których pisał dzieje swojego serca i

okno przez które widział tylko dachy, kominy i niebo i stolik na którym pracował bez nadziei sławy i zapłaty i wszystko, wszystko i flecik który mu śpiewał w nocy pocieszającą pieśń młodości i wszystko, wszystko i więcéj jeszcze.

Kiedy tak myślał, posłyszał szelest u okna i odwrócił się — przez okno wchodził jedyny przyjaciel ubogiego Maćka kot Maciuś.

Oni się razem wychowali i żyli razem, po przyjacielsku jak bracia. — Maciuś przybiegł wskoczył mu na kolana, wyciągnął się, najeżył i przy ogniu położył. Szczęśliwy! on wracał z pielgrzymki po dachach, w której nasycony połowém, uściskawszy po drodze nie jedną przyjaciółkę kotkę, zasypiał spokojnie, nie troszcząc się o jutro, nie dbając o dziś, nie wiedząc że umrzeć wypadnie.

Nagrzał łapki przy kominie i zasnął.

Maciek spójrzał na niego i pomyślał.

Bądźmy zwierzęciem — to lepiéj!.

I spać się położył.

Sniło mu się że był kotem bardzo bogatym chodził na tylnich łapkach, kręcił węża i miauczał.



III.

MUCHOMOR I MUCHA.

Bogata, która idzie za ubogiego jak może wyglądać? —

Albo młoda, zakochana, uwiedziona?

Albo stara, brzydka, wzgardzona od wszystkich?

Albo oszukana tytułem lub nadzięcią majątku?

Albo tak osławiona, że ją wszyscy do koła obchodzą?

Narzeczoną Maćka Józia, była drugiego rzędu nazywała się Lukrecja Hiacynta Amelja Funcke.

Była niemka, córka jedynaczka bogatego Kupca, sierota od lat piętnastu, a dwa razy tyle żyjąca już na świecie.— Pani siebie i swego majątku, mieszkała w pięknym domu, wśród zbytku, wygod i dla oka ludzkiego

trzymała przy sobie ciotkę panią Gryzeldę, która była jej najuniżeńszą służką i to tylko robiła, co jej kazała siostrzenica.

Panna Lukrecja mogła mieć lat 30, jakem już powiedział, była niska, otyła, ospowata, trochę łysa i bezzębna. Ciotka jej mogła, mieć lat 50, była chuda, sucha, żywa, ale posłuszna jak baranek, jak machina, jak pochlebca dworak, posłuszna aż do poświęcenia nadziejom zapisu testamentowego, dla swojej córki chowającej się w klasztorze, swojego zdania, myśli, zasad i wszystkiego, co się tylko wszystkiem nazywa. Taka była ciotka siostrzenicy będącej narzeczoną Józia.

Była dwunasta, kiedy on przyszedł do niej, blade zgrzyziony, roztargniony, lecz udający wesołość, — szczęście, spokojność.

Ciocia wiedząc że go wkrótce kuzynkiem nazywać będzie, u drzwi go przyjęła.

— Ach! kochany panie Józefie! dzień dobry, zawołała, dzień dobry, czekałyśmy tak niecierpliwie coż to? czy nie chory? głowa boli — nie — może febra? — febry teraz panują. Lukrecja całą noc nie spała — Tak cię kocha! dodała pocichu.

Zaprowadzę cię do niej! ale jakżeś blade — co to, jest? co to jest?

— Żeby mnie bola.

— Ach zęby! czekaj, czekaj — Mam lekarstwo, lecę, biegnę! Doskonałe lekarstwo — chcesz? to cię nauczę. — Bierze się —

— Później, później —

— Bierze się naprzód szczypta korzeni pokrzywy — potem.

— Gdyby później. — Pani będzie łaskawa.

— Bierze się, duszko, korzeni pokrzywy szczypta, i tyleż ruty i tyleż mięty pieprzowej, wszak znasz miętę pieprzową? — to wszystko —

— Możeby potem —

— Zaraz kończę, to wszystko gotuje się razem w wodzie tak, aby się trzecia część wody wygotowała, która to trzecia część dolewa się wódką, rozumiesz mnie. —

— Rozumiem, wódką — ale —

— Idziesz do Lukresi, spieszysz się, rozumiem, niespokojny, o kochanie, kochanie!

I wprowadziła go, do pokoju jego narzeczonej.

Lukrecja Hiacynta Amelja Funcke siedziała nad stolikiem i przewracała wielki pak z żółkłych koronek. Gdy wszedł obróciła się ku niemu i zesznurowała usta.

— Bon jour! odezwiała się zimno.

— Dzięk dobry pani! I nieborak poca-

łował ją w rękę tłustą, czerwoną, spierzchłą i — mamże prawdę powiedzieć — ? — brudną.

Ciotka témczasém powiedziawszy że idzie przygotować lekarstwo, umknęła.

Kochankowie jak dwa wojska gotowe do boju, stali na przeciw siebie. Lukrecja przebiebrała koronki, Józio Maciek darł kieszonki u fraka—

O biedny Józio! z zimném sercem, z obrzydzeniem, musiał udawać miłość dla pieniędzy, jak nędzarz który błogosławi przechodnia ustami a klnie w duszy, jak kobiéta która za złoto—

Biedny Józio, panna Funcke była taka brzydka! nie wiedział co jej powiedzieć, nie wiedział jak udawać miłość, żeby się nie pokazała żartem i szyderstwem. Ale kobiety tak wierzą w siebie że najbrzydsza z nich nie zdziwiłaby się, gdyby ją ktoś przypadkiem nazwał Wenerą.

Po ucałowaniu ręki klassyczném, przyszło do technicznych wyrazów o tęskności, o pogodzie, o chorobie, o miłości i sercu.

Panna Funcke rzucała z roztargnienia koronki na ziemię patrząc na kochanka, on ze złością w sercu, prawił jej najśłodsze grzeczności.

— Pozwól pani, rzekł po chwili, abym cię mógł prosić o przyśpieszenie—

— O! nié mam jeszcze slubnej sukni —

— Lecz cóż to znaczy.

— Wszystko — ja muszę ją kazać zrobić najpiękniejszą i najdroższą—

— Dla mnie to wszystko jedno.

— Muszę się pokazać, zawołała panna Funcke, nazywają mnie starą —

— Pani!

— Słuchaj — zobaczysz jak się wydam u ślubu! — nazywają mnie skąpą! moja suknia będzie kosztować trzy tysiące złotych — 150 dukatów, tak! tak! ty powinieneś ubrać się takżé jak najbogaciej! Niech się dziwi Warszawa — pojedziem w odkrytej karecie! Żeby tylko była pogoda! kupię konie!

— Jeszcze.

— Dotąd? dotąd? zawołała panna Funcke.

— Zabrakło mi —

— Weź u mnie, mój drogi —

Józio pocałował ją i panna Funcke pobiegła zgubiwszy w zapale trzewik przydeptany, ogromny na srodku pokoju, do stołika, wyjęła woreczek, Józio pocałował ją jeszcze.

— To zamało! krzyknęła i pobiegła dołożyć pieniędzy.

Każdy pocałunek pędził jęj krew do głowy i za każdym twarz jęj czerwieniała a znaczki od ospy zawsze białe, bladsze jeszcze i jak gwiazdki sniegu rozsypane wydawały się.

Józio schował pieniądze.

Lecz kiedy ukradkiem spójrzał w tę chwilę, na twarz muchomorzą swojej narzeczonęj, ręka jego bezsilna upuściła w kieszeń pieniądze, które go piekły jak zadatek zaprzędanęj djabłu duszy.

Lukrecja była brzydka i zakochiana miała więc dwie wady, które zebrane razem czynią kobietę tak śmieszna jak ostrogi u trzewików balowych, widząc to Józio, już prawie chciał rzucić na stół pieniądze i cofnąć się, uciec wyrzec wszystkiego, ale wprędcę wstyd go opanował, wstyd który każdy młody, uczuł by nawet trzymając pistolet odwiedziony w ustach i chcący żyć jeszcze. Ten wstyd nazywa się punktem honoru, pochodzi wprost z miłości własnej, która nie dozwala cofać się i pokazać cofnięciem, że to cośmy robili było złem i dla tego to powiedziano że ludzką rzeczą jest

omylić się, a wyższą nad siłę człowieka poprawić się w błędzie.

Lukrecja tak słodko, tak okropnie patrzyła na swego narzeczonego — jój rozmowa tak była przesadzenie miłośna, tak ekzaltowana, że chyba interessowany jak Józio człowiek, mógł ją wytrzymać bez śmiechu, bez wyraźnego obrzydzenia.

Ale interess pieniędzy, który jest interessem szczęścia tylu ludzi, tak jest mocny!

Jego serce wzdrygało się na widok poczwary centkowanój biało na różowém, tłustej, nieforemnój, ograniczonój, a wymawiającej, profanującej słowa tajemnicze, rajske, miłości, uczuć, oliar, poświęceń, rokoszy! — Cóżbyście powiedzieli o krokodylu płaczącym, o wężu zakochanym, o ropusze któraby chciała śpiewać jak słowik. Profanacja, krzyczelibyście — a jednak, panna Lukrecja z tak dobrą wiarą prawiła o miłości, że zamknąwszy oczy można ją było brać za anioła piękności, za Wenus, za huryssę raju Mahometa!

I po coż proszę miłość i namiętne żądze potrzebujące podziału, mieszczą się w takich poczwarach?

Czy na wyśmianie uczuć naszych? —

Na parodję? — na zamrożenie najmoc-

nięszych płomieni, widokiem werterizmu ospowatego?

Poco te nadzieje, marzenia, chęci — tam, gdzie samo przyrodzenie nie pozwoliło dochodzić żadnym przyjaznym uczuciom, przez maskę nieforemną, każącą się nieforemnej domyślać duszy?

Na co to? — jest to zapewne jedna z tajemnic której i Montlosier nic odgadnie, tajemnica o której najlepiej wiedzą zwierzęta, bo u nich nie ma piękności i duszy, tylko ciało i ciało i zawsze ciało tylko.



IV.

KSIĘŻYC I KOT.

Księżycu! świeć nam zawsze!

W cichéj nocy majowéj, kiedy słowik śpiewa u łoża swojej narzeczonéj, słowik szary, mały, ubogi, słowik poeta, kochanek, muzyk, kiedy róże otwierają się i z rosą roznoszą w koło swój zapach, tak klasyczny, erotyczny, rokoszny, tak Persją przypominający i jéj miłostki róż i słowików — Świeć nam Księżycu!

Kiedy nas dwoje, ich dwoje, wyjdzie ukradkiem, nocą, wieczorem, w chłodne szpalery, w ciemny gaj, przepędzić jedną chwilę szczęścia dla której żyli, z której wspomnieniem umrą, dla której daliby życie i tysiąc śmierci ponieśli.

Srebrny Księżycu, kochanku kochanków,
gwiazdo poetów, ojcie marzeń nieśmiertel-
nych, świeć nam w ówczas z za obłoku,
świeć nam w ówczas i zawsze.

Świeć nam Księżycu w smutku, świeć
nam na łzach naszych, świeć wszędzie i za-
wsze.

Niech słońce oslepia dumnych, niech
ciemna noc okrywa bydlęta i spiochów, ty
dla nas świeć zawsze Księżycu. O! świeć
dla poetów, dla kochanków, dla marzących
i myślących, których duszę niesiesz do nieba
na swoim promieniu.

I kiedy śmierć przyjdzie, niech twój blask
pożegna zamknięte cudzą wolą i cudzą ręką
oczy i kiedy piasek będzie się sypał na nas,
który nas i pamięć naszą przywali, ty świeć
nad mogiłą — o Księżycu, świeć zawsze!

A jeśli kto przyjdzie nad grób, ty o-
swiecaj mu drogę i na swoich promieniach
zanieś Bogu jego modlitwy, a duszy jego
westchnienia — Księżycu srebrny świeć za-
wsze.

Potem jeśli kości nasze wygrzebie dłoń
najemna spekulatora, lub spocona ręka wie-
śniaka, kiedy będą leżeć pomieszane z ko-
ściami bydląt, ty świeć nad niemi jeszcze,
świeć zawsze. —

Ty świecisz całemu światu, twoja twarz smutna blada, stroskana, zdaje się mówić nam — „Nie rozpaczajcie, jam w niebie, a i ja się smucę, jam w niebie, a i na niebie są chmury. Tyś łagodniejszy od słońca, tyś ojciec gwiazd tyłu, którym świecić pozwalasz, Księżyco świeć nam zawsze!

Patrz jak do ciebie wznoszą oczy i somnambul drżący, którego duszę wołasz swoim promieniem, i bogacz którego jaskrawe światła balowe gasisz swoim tęsknieniem spójrzeniem i ta biedna, której z pamiątek miłości i rokoszy tyś tylko pozostał, i ten płaszek na gołazce i ten wąż z podniesioną główką biedny męczennik potwarzy i ten kotek który chodzi po dachach, zdając się myśleć głęboko?

Ale człowiek wszystko wszystkim wydzierą, żeby sobie przywłaszczył, on to okrzyczał węża za to że się broni, za to że głodny karmi się zwierzętami, on to powiedział dumny, że jeden tylko sam, ma rozum, myśl i duszę.

A nie widział zaslepiony, że on jak wąż zabija wiele, zabija braci, zabija najprzejazniejsze zaufane zwierzęta i karmi się nimi, a nie widział że mrówka, robak, bóbr, jaskółka, pies, pokazują więcej niż ślepy instynkt.

Człowiek dumny — ale ktoż wie? — może każde ze zwierząt, mieni się w sobie najrozumniejszém, a reszcie odbiera także rozum i myśl. To tylko prawo odwetu! — Nie prędko język zwierząt będzie rozumiały ludziom, narody ptaków, narody ryb, narody roślin, narody kamieni, mają wszystkie swoje osobne języki, ale Bóg kazał im o-cierać się o siebie nierozumiejąc — bo gdy się zrozumieją i poznają w ówczas, świat się skończy!

A nim się skończy, wszystko będzie szło jak idzie, z małemi tylko odmianami powierzchni. —

Co się tycze braci naszych zwierząt, te ani jednym krokiem nie wyjdą z drogi przepisanej, u nich zawsze też same obyczaje, też same zatrudnienia, też same będą uczucia i myśli, jeżeli my im myśleć pozwolimy.

Pospolite zwierzę ziemi, od dzieciństwa, od urodzenia ma instynkt, ludzie go niemają, ono wszystko co robi, robi niewiedząc dla czego tylko z popędu. Człowiek z dzieciństwa do niczego niezdatny, doskonali się, zwierze równe w stosunku wieku z człowiekiem (który nie dorósł) jest od niego daleko na pozór rozumniejsze, później zwierzę zostaje jak było, a człowiek do śmierci

przebiega rozmaite zmiany i dąży coraz do doskonałości, o ile ciało jego, które ma wspólne ze zwierzętami, pozwala mu tego. Rozum człowieka, (którym według powszechnego zdania grammatyk od zwierząt się różni) na tém zawisł, iż sądzi ze skutków o przyczynach, uważa i rozbiera wszelką czynność — a zwierzę w naszych oczach idzie tylko ślepo i idzie. Mówię w naszych oczach, bo ktoż nam zaręczy że tak jak widzimy, widzimy dobrze? — *Homotroglo-dytes* Linneusza stoi obok drugiego *homo sapiens*, bez głosu i duszy na pozór, stoi na dowód, że jeden tylko szczebel, oddziela pana świata i dziedzica nieba, od robaków ziemi, dziedziców prochu i błota.—

Na dachu blisko mieszkania Maćka w piękną noc miesięczną siedział zamyślony jego przyjaciel Maciuś. Już było późno, a on jeszcze nie szedł do domu, patrzył po dachach, po niebie, skrobał się łapką, wyciągał i jak filozóf który najadłszy się dobrze rozmyśla o podziale duszy i jej essencji, tak on myślał głęboko, z częstém westchnieniem, niespokojny, rozstargniony — myślał ale o czém, — o czém?

Minęła chwila — on czekał jeszcze i siedział — na kogo? na Minetkę? na przyja-

ciela jakiego? na kuzynka któryby łaskawie raczył odebrać mu połowę jego stawy w imie pokrewieństwa?

Maciuś siedział, patrzył i czekał i myślał głęboko, ale któż odgadnie myśli kobiety i myśli kota?

Siedział długo a potem podskoczył żwawo, wesoło jak Archimedes ze swoim *Eureka!* poskoczył! dokąd? — poco? — za myślą!

Biedne stworzenie pisnęło tylko i broniąc się ugryzło go w łapkę — a Maciuś, łagodny, pocciwy, przyjacielski, zjadł ją całą łapczywie i smaczno. Coż mu była winna?

— Jój winna — że on był głodny!

Potem Maciuś wolnym krokiem, z rynny na rynnę, na komin z komina, z daszku na daszek, po galerjach, po wschodkach, po wystawach doszedł do okna swego pana, wbiegł do jego izdebki i — spać się położył.

— Co za okrucieństwo, zawoła nie jedna, nie jeden co za okrucieństwo, jeść myśli? — A wy moje panie nie jecież kurcząt, prosiąt, kaczek, wołów, nie zabijacież much i komarów?

Kot Maciuś urodził się jak wy z prze-

znaczeniem powiększenia swego rodu i niszczenia drugich — Cóż on temu winien? —

Śmieszna jest pretensja tego filozofa i tego narodu który unikając zabójstwa jadł tylko rośliny — a roślinyż nie żyją? — a w roślinach, w wodzie? w powietrzu? — czyż niema tysiąc tysięcy stworzeń maleńkich, które zabijamy, sami o tém niewidząc?

Nic nie winien kot Maciuś — on był głodny, a ja sam widziałem, że gdy się raz nasycił, nie udusił myszy, która mu niezgrabnie w łapki wpadła, pobawił się i puścił ją — a człowiek przechodząc tamtędy porwał kamicę i co prędzej dopełniając swego obowiązku niszczenia, zabił ją za to, że mu szelpotała pod poduszką, że mu kradła ze spiżarni przysmaki, a zboże ze spichlerza—



V.

LUDZIE I KOTY.

W wielkich drzwiach Kościoła S. Krzyża spotkały się dwie Kawalkaty, dwie processje, dwa tłumy, dwa weselne orszaki. Jeden wchodził, drugi wychodził.

Widać było wychodzącą z Kościoła, parę młodą, piękną, wesołą. Była to pani Hrabina i pan Hrabia. Ona bogato ustrojona w wieńce robionych kwiatów, w sukni blondynowej, — On w granatowym fraku, ze wstęgą orderową i gwiazdą. Zdawali się uśmiechać do siebie, a w istocie, Hrabia spoglądał w koło, czy nie zobaczy ulubioniej baletniczki, a ona patrzyła czy nie ujrzy Józia.

W drugiej parze wchodzącej do Kościoła szedł Józio i panna Funcke, cała w złocie — brylantach, w tiulach i haftach

w sukni z koronek na dnie srebrném włożonej. Pojazdy dwa które ich przywiozły, świeże, nowomodne, jasnego koloru, założone bronzami, połyskiwały od latarni z szkła ciętego jak kubek karlsbadzki —

Cztery twarze, dwóch par, przez chwilę zwróciły się ku sobie, spójrzały na siebie, a potem na każdej z nich urodził się uśmiech — i rozeszli się.

A Każdy uśmiech z tych czterech był inny. Fantazja uśmiechnęła się jak prorok wszystko wiedzący w pół z politowaniem, w pół szydersko, Hrabia jak szatan nad kolebką dziecięcia zaprzedanego mu wcześniej, z pogardą dumnie i obojętnie. Józio uśmiechnął się pierwszym uśmiechem bogacza, uśmiechem wszechwładnym, panna Funcke skrzywiła usta i poprawiła kolce brylantowe jak gdyby mówiła — Jestemżę stara i skąpa? — A potem w dołkach jej ust odezwały się dwa głosy niedostłyszane miłości i dumy z posiadania młodego, ładnego chłopca.

Było coś uderzającego w tém spotkaniu dwóch par, w czterech spójrzeniach, w czterech uśmiechach i czterech myślach które przebiegły po ich mózgu — Widzowie którzy szli za nowożeńcami obejrzelili się tylko na siebie i musieli pomyśleć —

— Kto też z nas lepij się zabawi?

A na ulicy zamiauczał kot Maciuś piskliwie, na ten głos przybiegło drugie podobne mu stworzenie, a potem razem oboje uciekli goniąc się, skacząc, podbiegając z ulicy w ulicę — daleko — daleko



VI.

JESZCZE WCZEŚNIE!

Szumne było Maćka wesele, blisko stu osób płci obojęd kręciło się na niém wesoło, spijając drogie i dobre wina, ten elikzyr chwilowego szczęścia, po którym głowa boli i usta spalone osychają. — Tylko państwo młodzi nie pili. On z początku dotykał wargami kieliszka, ale nadto ceniał przytomność i rozum w tej stanowczej chwili, aby go miał dobrowolnie znać dobrowolnie choć jedną kroplą trzyrublowej ambrozij. —

Ona była tak szczęśliwa, przynajmniej na pozór, że zapominała o jedzeniu o piciu o grzeczności i toastach, na które nie odpowiadała nawet skinieniem głowy. —

Lecz im później w noc było, tém jej wesołość topniała i wietrzała, bo Józio rzu-

cił się do tańca, do gry, rozmowy i starał się co raz dłużej odwlekać okropną chwilę. stanowczą chwilę zajęcia pontyfikalnych łóżek małżeńskich. —

Ona nadto była dumna, żeby jak o jałmużnę, o tę chwilę na której wspomnienie serce jej biło mocno; prosić miała.

— Co za szkoda że tak brzydka! szeptała młodzieź do koła.

Jaki biedny ten pan młody! wołały kobiety rzucając na niego pół szyderskie, pół litościwe z pod wachlarzy spójrzenia.

— Co za cierpienie, mówił sam w sobie Józio, starając się udawać szczęśliwego ta chwila, ta noc, która by mogła być najrozkoszniejszą z całego życia, która by mi w starości, przy śmierci, świeciła jak brylant w ciemnej przeszłości — ta noc okropna, nieunikniona, będzie mnie tylko obrzydliwem mojego zaprzecania wspomnieniem, pędzić jak wilk owcę, do grobu. — O! okropna! I czegoż mam zwlekać jeszcze, zawołał raptem, giśmy! To mówiąc chwycił żonę za rękę i z zapalonemi od gniewu oczyma, z twarzą płomienistą, od wstydu i przymusu odezwał się.

— Już późno!

— O! bardzo późno, mój drogi!

— Może czas pożegnać gości?

— Wyjedziem bez pożegnania — zostawię tu za gospodynię ciocię.

— O! dobrze, odpowiedział Józio — bardzo dobrze! doskonale, wybornie. I śmiał się mówiąc te słowa niemogąc znaleźć żadnej myśli w głębie, którą by można zamiast szczerzej miłości rzucić w oczy żonie —

Więc ja pójdę? zapytała pani młoda.

— Idź duszo moja! odpowiedział mąż z uśmiechem, a w sercu dodał — Idź, choćby do piekła! — kupił mnie, pomyślał, a lén serca nie sprzedał, tylko ciało — serce i dusza, moje, szatan chyba drugi jeszcze je kupi — Bo teraz są do przedania!

— Idź! idź! dodał — ja w ten moment spieszę za tobą.

I odprowadziwszy ją do drzwi, sam znowu rzucił się między gości, ale już, zbliżoną chwilą okropną, do takiej przywiedziony rozpacz, że nie wiedział co robił.

Szalony, żałował w ówczas swojego dawnego ubóstwa i nagich ścian izdebki i spokojnego kominka i jeszcze kogoś i jeszcze czegoś — ale już było za późno!

Chcąc się odurzyć, porwał kielich i zaczął wznosić toasty jeden po drugim, tak szybko, tak nagle, tak gwałtownie, że le-

dwie bliżej stojący adwokaci mogli mu zrównać w spełnianiu ich. Bo trzeba wiedzieć, że wielomówni z rzemiosła, nie lubią mieć gardła suchego.

Tak dobrze więc wznosił toasty, że godzina minęła od wyjścia żony, gdy się upamiętał, ale w ówczas był już zupełnie upojony winem i rozpaczą, a myśl stała jego położenia oswoiła się z nim, a on z nią.

Machinalnie więc postawił kielich i wielkim krokiem poszedł prosto do sypialnego pokoju, u drzwi zadrzał jeszcze, cofnął się i spieszniej jak przyszedł uciekł znowu do gości.

I jeszcze wznosił zdrowia, pił, chciał się odurzyć, zabić swój rozum, czucie i odrętwieć, aby niewiedzieć czy żyje i co robi — ale rozpacz zawsze zwyciężała wino i choć pijany, wiedział ciągle co go czekało, na dnie każdego kielicha, znajdując toż samo szczypiące wspomnienie zaprzędania!

Drugi raz poszedł aż do drzwi, położył rękę na klamce i uciekł znowu biedny i pił znowu, a głos tajemny, szyderski, zdymem wina chodzącym po głowie, nosił mu po niej te słowa.—

— Tyś się sprzedał, tyś nie swój, tyś kupiony, zapłacony, tyś bogaty, idź niewol-

niku, idź i udawaj miłość kiedy się będziesz wzdrygał z obrzydzenia, ściskaj, kiedy ci serce pękać będzie, całuj przeklinając — tyś przedany!

A w tém ciocia chwyciła go za rękaw.

— Kuzynku? ty tu jeszcze? czyś już był tam?

— Gdzie? zapytał Józio?

— Wszak rozumiesz! Lukrecja cię czeka!

— A goście!

— Ja gości zabawię, wszyscy wiedzą że w takim dniu bawić się z niemi nie możesz kuzynku! idź!

— Wszak jeszcze rano?

— Rano?? prawda! jest trzecia z północy.

— Trzecia! a to być niemoże.

— Tak jest, idź duszo moja. Nadto pićś.

— Kto? ja?

— Nie, nie, nie — idź tylko kuzynku!

— Jeszcze chwilka!

— Ani pół! idź do niej. Dobrze trzy godziny czeka na ciebie, to niegrzecznic. Chcesz się z nią pogniéwać pierwszego dnia?

— Ale cóż pilnego?

— Kto kocha, ten się nie tak pyta, odezwała się ciocia.

— Ja kocham ale pani, wszakże, wszakże — dwónasta jeszcze?

- Trzecia kuzynku.
 - Trzecia? jeszcze wcześniej.
 - Ona cię czeka! cóż goście powiedzą
widząc cię tutaj noc całą —
 - A cóż mają mówić?
 - Ześ się tylko dla pieniędzy ożenił.
 - Ciociu!
 - Kuzynku! idź że przecie!
 - Ciociu! tylko jeszcze jedno zdrowie!
 - O już tego było aż nadto —
 - Wszak wcześniej, jeszcze dwónasta?
 - Trzecia już, trzecia! trzeci raz po-
wtarzam ci, że trzecia, panie Józcie idź na
miłość, Boga. —
 - Ona śpi pewno, niechcę jćj budzić —
 - Ona czeka, tylko co byłam u nićj.
 - Czeka! a! jeszcze jedno zdrowie!
 - Ona płacze!
 - Wszak jeszcze wczesnie? pierwsza?
 - Trzecia! trzecia! trzecia! ona płacze—
 - Idę! tylko dwie chwile!
 - Kuzynku, ani jednéj!
- To mówiąc wyprowadziła go prawie mi-
mo woli z salonu i wypuściła do sypialni. —
- Przecież przypomniałeś sobie o mnie!
zawołała ta Lukrecja zapłakana i czerwona,
jak tylko wszedł.
- Gości mnie zatrzymali, rzekł Józio

padając na krzesło z zamkniętymi oczyma—
Wszak jeszcze wcześniej?

— Trzy godziny czekam na ciebie.

I przy końcu tych słów uczuł na szyi ciężki uścisk obejmujący go jak łańcuch żelazny —

Zimny dreszcz przebiegł go od głowy do stóp, w uszach mu zadzwoniło, zęby się ścięły, a po oczach przebiegły iskry, gwiazdy, płomienie — Potém nastąpiła cichość i milczenie które trwało póty, póki go głos przeciągły żony nie obudził.

— Jesteś chory?

— Jestem chory.

— Co ci jest?

— Jeszcze wcześniej! odpowiedział Józio.

— Co ci jest, powtórzyła żona, całując go, gorącemi jak płomień ustami —

— Dopiero dwunasta, mruknął pocichu.

— Może się położysz?

— Jedno zdrowie — jeszcze wcześniej, odpowiedział, tylko jedno!

— Piłś nadto! biedny! na cośś pił tyle? I to mówiąc skoczyła żona, zaczęła dzwonić i wołać o zimną wodę, herbatę, cytryny, ocet! —

Ale on prędko oczy otworzył i powoli, powoli do przytomności przychodzić zaczął,

a widząc że go chcą kłaść na łożku, zawołał raz jeszcze manifestując się.

— Dopiero dwunasta, jeszcze wcześnie!

Potém wino znowu spętało jego myśli i jego usta, a sen przycisnął mu głowę, skleił oczy i pan młody nie dał się już ocucić, aż nazajutrz rano.



VII.

HERBATA Z CYTRYNĄ I SPACER.

Sny pijanego są tylko ciemnymi mglistym przedłużeniem marzeń jego pijaństwa — biorę za świadka każdego komu się zdarzyło upić po staropolsku, to jest do zupełnego zgubienia czucia i przytomności i tego stanu dziwnego który jest półżyciem, a półśnem drugiego świata, półśmiercią.

Józio pijany dręczył się myślą swojego ożenienia i obrzydliwemi pieszczotami żony, Józio uspiony czuł już przy swojej twarzy, centkowaną twarz Lukrecii i ciepły pocałunek ust jej szerokich i oddech jej chodzący mu po licu i rękę jej olbrzymią obejmującą go, do uduszenia.— Przepędził tak noc całą, w snie ciężkim i niespokojnym, obudził się z przestraczem, ale już *ciężkiej* żony, nie było przy nim.

Młoda pani siedziała z ciocią nad stolikiem w pierwszym pokoju. Błada, z czerwonymi oczyma, pomięszana, nie piła nawet kawy stojącej przed nią w ogromnej filiżance; patrzyła po suficie, po podłodze, po ścianach, i czasem łzy wielkie płynęły po jej twarzy cicho, nieociérane.— Łzy tak śmieszne, jak nie jeden śmiech jest smutny.

— On mnie nie kocha! zawołała nako-
niec.

— Ale kocha! odpowiedziała prędko ciocia, ocierając usta i przełykając ostatni z sześciu sucharków — Cóż za dowód że nie?

— Wczoraj —

— Wczoraj upił się na swoim weselu, podchwyciła ciocia. Cóż to dziwnego? mogłabym ci postawić sto przykładów najczulszych mężów upojonych w dzień ślubu. To był spisek młodzieży. To tylko dowodzi że jest towarzyski, gościnny.

— Zawsze, nawet przez sen, mówił —
jeszcze wczęsnie.

— Powtarzał to, co przez grzeczność dla wstrzymania gości pojąc ich, mówił im bez ustanku.

— Ach! nie nie! ty próżno go wymawiasz, on mnie nie kocha — ja jestem brzydka, stara. Wczoraj ubicrając się do

ślubu, zdawało mi się, że jeszcze młoda, że piękna, wczoraj kiedy zobaczyła tyle pięknych i młodych panien przekonałam się że tylko pochlebiała sobie. Gdybym była młoda, ładna, gdyby mnie kochał, czyżbym dziś wstała ze łzami?

— Ale naprzód wybij sobie z głowy swój wiek, odpowiedziała z zapalem ciotka — dwadzieścia kilka lat, jest to pierwsza młodość —

— Ja mam trzydzieści przeszło.

— Nieprawda! zawołała ciotka, nie masz trzydziestu i jesteś młoda, dobrowolnie robisz się nieszczęśliwą —

— Jestem brzydka.

— Ty? a to co nowego! daj Boże każdemu, być tylko tak jak ty brzydkim, spójrz w lustro —

— Patrzyłam cały ranek —

— Ależ i ja mam oczy, z wrastającym zapalem wołała ciotka, jesteś piękna, mówię ci i powtarzam. On cię kocha!

— On mnie wziął dla pieniędzy —

— Nieprawda! kochał ciebie — widzę że koniecznie chcesz być nieszczęśliwą. Na co te marzenia?

— Gdyby to były marzenia!

— Nic innego, wszystko to tylko robi zbytnia twoja drażliwość, pij kawę —

— Nie mogę przełknąć — nic mi się niechce.

— Trzeba pić, mówię ci kochańciu, trzeba pić, choć przez rozum. — Myślisz że się głodem morzyć, to ci pewno nie doda piękności.

Tak przekonana pani młoda, umoczyła grzanekę w kawie i wzięła się machinalnie do zniszczenia śniadania. Ale jej oczy zwracały się często na drzwi, a w ówczas ręce jej drżały, oczy się rozjasniały i serce biło.

Już dziewiąta biła, gdy w przedpokoju dał się słyszeć chód męski i kaszel. Ciotka jak jastrząb na mysz, zwróciła^a oczy na drzwi, ona spuściła je i zbladła i spójrzała w zwierciadło, obie milczały jak potępieni w dzień sądu ostatecznego w przeciągłym i strasznym oczekiwaniu.

Ciekawém było w istocie pokazanie się Józia, jaką mógł mieć minę? co miał mówić? jak się tłumaczyć?

Józio wszedł ubrany zupełnie, wytwornie.

— Dzień dobry, rzekł podchodząc z uśmiechem ku żonie, zasnęłam trochę, bom wczoraj, nadto szczerze częstując gości, piwszy raz w życiu się upił. Przepraszam cię za to bardzo.

— A co? a co? szepnęła ciotka uradowana i zawołała.

— Będziesz pić kawę?

— Herbatę z cytryną, jeśli łaska.

— A Herbatę! dzwonić ciociu! Czemuż bo nie przynieśli samowara? czemu do téj pory nie zrobiona herbata? zawołała żona. Siadajże pewnoś chory?

— Nic a nic, głowa mi tylko cięży trochę, odpowiedział Józio, całując ją w twarz, z przekonania o potrzebie, nie ze smaku. —

Na to pocałowanie Lukrecja porwała się uradowana i zaczęła dzwonić o herbatę, łajając służących za powolność, zaczęła chodzić przygotowywać, urządzać, tak była szczęśliwa sądząc na chwilę że ją kochał.

— Wody! Samowara! herbaty! gdzież są cytryny? prędzój! czemu cukru nie narąbano? Jakób! Jan! czemu się włóczycie tak powoli! Wołała bezustannie z zapalem, z zajęciem takim, że biedna ciotka wybiegła sama dmuchać w samowar, aby się prędzój zagotował.

Ale jej wszystko było za powoli, tak szczerze chciała usłużyć, temu, który, nihy, może ją kochał! Sama pobiegła. —

I herbata zrobiła się narcście, a Józio uczuł coś nakształt zgryzoty, widząc tak czu-

łe koło siebie starania — Niestety! Lukrecja była tak brzydka, że nie mogąc jęj kochać, zgryzot mieć nawet za to nie można było!

Po herbacie, za którą, zawsze z przekonania, pocałował ją znowu Józio, wziął kapelusz. Nagle twarz jego żony z blasku swojego szczęścia o całą oktawę upadła.

— Idziesz? zapytała takim tonem, jakim się zwykle mówi nie idź! —

— Chciałbym użyć świeżego powietrza, przejechać się.

— Pojedziem razem? odpowiedziała żona.

— Bardzo dobrze! mruknął Józio stawiając kapelusz. A w duszy jego wyraz *razem*, przypomniał wszystkie dawne cierpienia i rozpacz.

— Zawsze więc razem i razem będziemy! pomyślał, tak! jestem zaprzędany, przywiązałem się sam do niej złotym łańcuchem i odtąd będę razem, będę cierpieć i będę razem. Wszystko razem, zawsze razem. — Razem piekło!

— Jestem gotowa! — zawołała żona.

— Konie, podchwycił Józio z gniewem, czemu nie zajeżdżają? — Konie! odprawię formama.

— Nie guńwaj że się! — słodko przemówiła Lukrecja.

— Konie! bardziej jeszcze grzmiącym głosem powtórzył Józio — Maciek. Powinny być na skinienie. — Od czegoż jestem bogaty? pomyślał w duchu, a potem dodał.

— Nie pojedę! — Rad, że miał przyczynę do niepojechania. —

— Więc i ja zostanę! odezwała się żona zdéjmując kapelusz.

— Chciałaś jechać? zapytał mąż.

— Z tobą nie sama! bardzo cicho szepnęła żona, zostaniem razem.

— Razem i razem! gorzko pomyślał Józio i wyszedł z pokoju. —



VIII.

POSIEDZENIE NA DACHU.

Lecz porzućmy ludzi, a wróćmy do kotów.

Na płaskim dachu jedną z nowych budowli Krakowskiego Przedmieścia, zebrało się liczne zgromadzenie Maciusiów. W pośrodku nich leżał trup kota. Oni smutni stali w koło i miauczelili. Jeden trzymał mysz w łapkach i patrzył na nią mrugając wąsami i trzepiąc uszami. — Pedagogiczne miny wszystkich pociągnięte były mgłą smutku i niepewności. Ten który mysz trzymał po długim namyśle, tak się odezwał, w języku kocim, złożonym z tysiącnie intonowanych miauczeń i mruczeń.

Koty! zgromadziliśmy się tu w celu dociekania tajemnic przyrodzenia, w ślache-

tnym i wjelce dobro współbraci kotów i innych stworzeń zajmującym. Wspólnie się naszym doświadczeniem i nauką wspierając bez wątpienia zajdziem dalej, niż koty wszystkich krajów, niż tygrysy, i dzikie pokolenia naszego rodu.

Ja naprzód wnoszę pytanie. — Czyli inne stworzenia prócz nas żyją i czują, czy tylko są machinami? —

— Żyją — przerwał inny, jak my. —

— Bajka! miauknął piskliwie mówca, nie żyją, tylko się ruszają. Oto dowodem tego mysz którą trzymam w ręku? Nie jestże to machina, która tylko je, pije i rospładza się? a nie myśli i nie czuje. Gdyby była téj natury co i my, czyżbyśmy ją jedli?

— Prawda! zawołali wszyscy.

— Prawda! powtórzył przokonany antagonist.

— Proszę więc aby odtąd przyjęto było za punkt wiary dowiedziony i niezbity, że myszy i inne stworzenia dwułaone i czwórłaone, nie żyją tylko się ruszają.

— Przyjęto! zawołali mędracy.

Z kolei miauknął drugi, prosząc ogłos.

— Dość na dziś, zajmować się nieślachetnymi stworzeniami innymi, mówmy o sobie, o kotach. Dociekajmy własnej natury,

reszta niewarta spójrzenia i zastanowienia. Niech mi wolno będzie powiedzieć to, com oddawna postrzegał we względzie zwiąsku jaki zachodzi, między powierzchownością, a wewnętrznemi przymiotami rodu naszego, który bez wątpienia jest pierwszym na ziemi.

— Słuchamy!

— W obliczu zmarłego i leżącego przed nami Miaulisa, niech mi wolno będzie, ciągnął dalej mówca, odkryć wam to, co za jego życia, wspólnie z nim wypracowaliśmy. Może być że postrzeżenia nasze poprowadzą do dalszych odkryć nie mniej ważnych, jak te które wam przynoszę. — A naprzód wymagam, aby Macius w nagrodę moich prac oddał mi mysz którą trzyma w łapkach.

— Jestem głodny, odpowiedział naturalista i mam jeszcze czynić pewne postrzeżenia nad tą machiną, a przytém nie wiemy jeszcze odkryć i postrzeżeń, nie wiadomo więc czy są warte takiej zapłaty. Nakoniec dla czegoż ja jeden z moją szkodą mam nagradzać waćpana, kiedy jego przysługa służy nie mnie wyłącznie, ale ogółowi. —

— Więc ja będę bez nagrody? ja filozof, ja mędrzec, ja pierwszy z kotów, zawołał mówca — o czasy! o egoizmie! o trucizno! Ja, ja, ja, ja — będę bez nagrody?

— Uchwalono, odezwał się inny kot z kąta, że nagroda idzie po uczynku, nie zaś poprzedza go. —

— Więc będę mówił, ale wnoszę, dodał filozof aby mysz ta była złożona w łapach neutralnych najmniej głodnego i znanego z poczciwości współtowarzysza.

— Nie oddam jej krzyknął mówca pierwszy, *suum cuique*, ona jest moją własnością. — I to mówiąc udusił ją i pożarł.

Filozof najczył się, oczy mu się zaiskrzyły, plunął pogardliwie i zaczął mówić.

— Będę więc miał prawo do innej nagrody, kiedy egoizm szkaradny, pozbawił mnie tej. Lecz oto mój systemat nicśmiertelny.

Oddawna uważano że koty nie są wszystkie jednej natury, te są łakome, drugie ciekawe, trzecie złośliwe, czwarte miłośno-gorące i t. d. Przyczyna tego była nam niewiadoma i pospolicie błędnie, przypisywaliśmy ją wychowaniu. Inaczéj się ma jednak wcale, oto ja podaję sposób niemylny odkrycia jedném spójrzeniem charakteru i skłonności kota. —

— Za pozwoleniem, przerwał jeden, który miał uszy powyszczerbiane, ogon ucięty, łapy poparzone i osmalone wąsy.

— Proszę nie przerywać, rzekł mówca.

— To bajka, szarlataństwo, oszustwo!

— Błędny systemat, przerwał inny z zielonými oczyma.

— Senne marzenie! zawołał drugi znany z zapalczywości.

— Nauka szkodliwa, rzekł trzeci, sprzeciwiam się jój wykładaniu. Gdyby odkryto tajemne skłonności wszystkich, oszuści wszyscy byli by wiadomi, nikt by się nie dał oszukać i równowaga towarzyska zachwiała by się. Nastąpiła by cisza i bezwładność nieznośna, wróżąca zgubę, pierwszego w świecie rodu kotów. Bo życie, dodał — jest to oszukiwanie i oszukanie, a gdyby tych nie było, nie byłoby głównego koła na którym się życie obraca i nie było by obrotu — a za tém nie było by życia, Więc ten systemat grozi nam śmiercią,

— Zadusić filozofa!

— Zadusić.

— Rozszarpać żeby nam takich bredni nie plótt.

— Rozedrzeć.

Tak miaucząc koty rzuciły się na niego i ostatnia godzina mędrca wybiła, padł jęcząc nad zaślepieniem i ciemnotą swoich współtowarzyszów.

Potém wszyscy usiedli znowu na miejscach spokojnie i poważnie, a jeden z zabójców, poprosił o głos, i powiedział pochwałę zmarłego.

Jeden powstał.

— Stworzenia któremi otoczeni jesteśmy, mówił, oczywiście, wszystkie dla naszego dobra i użytku, są stworzone. Panowanie nasze nad niemi jest niezaprzeczone.

— Niezaprzeczone! powtórzyło zgromadzenie.

— Niezaprzeczone więc także, ciągnął dalej mówca, są zasługi tych, którzy usiłują coraz mocniej poddać pod wyłączną władzę naszą, wszystkie stworzenia nierozumne. Najużyteczniejszém z tych zwierząt jest człowiek, powolny, usłużny, całe życie usiłuje tylko przypodobać się kotom i wiernie im służyć. Karmi ich, chowa przy sobie, ma staranie o młodych, daje chleb starym paralitykom, głaszcze ich, chucha i ogrzewa. Bez wątpienia ze sług naszych to najlepszy. Ja Maciuś mam jednego takiego. Poczciwe i głupie stworzenie, które zdaje się jedynie, tylko mną i mojem dobrem zajęte. Wnoszę więc aby mnie nagrodzono za to, żem go ułożył, przyswoił i poddał sobie.

— Niewarto nagrody! odezwał się sąsiad.

Nic łatwiejszego jak takie stworzenie przyswoić, każdy z nas ma podobnego sługę. — Oddawna dają się tylko nagrody, tym którzy dowiodą że podbili psa mianowicie charta.

— Wnoszę pytanie, zawołał jeden, czy zwierzęta większe, mają więcej rozumu od małych?

Cichość panowała powszechna, jeden powstał i zawołał.

— Gdyby tak było, człowiek więcej by miał rozumu, od kota. A jednak tak nie jest, bo kot żyje i myśli, a człowiek rusza się tylko, jak mysz. Gdyby miał rozum, jadłby myszy i nie służyłby kotom, wypada więc że nie ma rozumu, a stworzony jest dla nas wyłącznie.

— O! zawołał inny — poeta — Co za pocieszający widok, że cały ten świat jest naszym i dla nas tylko stworzonym, że wszystko nam służy, że noc przybywa, abyśmy spali smacznie, dzień dla połowu łatwiejszego, lato dla owoców, zima dla odpoczynku i hodowania, wychowywania dzieci. Jaka by powinna być duma nasza, widząc wywyższenie w jakim nad wszystkie nierozumne bydła zostajem. My, koty!!

I wszyscy westchnęli rozczerli.

W tém jakby dla dopełnienia liczby, je-

szcze jeden kot przybył na zgromadzenie.

Mina jego była harda, głowę nosił do góry, wąsy miał rzadkie i sterczące, uszy nasróżone, oczy żółte i iskrzące. Sam był biały, a na grzbiecie jego krzyżowały się wytwornie, żółte, czarne i szare plamy. Ogon jego w górę podjęty, łapki czyste i umyte okazywały arystokratę dawnego rodu.

W istocie liczył aż między przodkami kilku czarnych kotów Sybirskich, jednego tygrysa ulubienca Raży Indyjskiego, kotkę faworytkę ministrowej francuzkiej, zabita przez jednego z Królów francuzkich (przypadkiem) (1) a za dziada miał sławnego mędrca kota Murra.

Wejście jego powitano przeciągłym miauczeniem, on wszedł piszcząc jakąś piosnkę i zapytał.

— O czémżeście to gadali? Na co mózgi suszycie! Chodźcie lepiej ze mną na myszy. Mam ich całą norę, tłustych jak jesienne. — Przytém wiem jedną spiżarnię. Czy przyjmujecie zaproszenie?

Wszyscy pobiegli, i tak się skończyło, uczone posiedzenie kotów na dachu.

(1) cf. Memoire de Louis XVIII.

IX.

D A L E J.

Józio jak tylko mógł się wymknąć z domu pojechał zaraz swoim nowym koczem, karémi koñmi w angielskich szorach, do pani Hrabinój.

Postał Lokaja z zapytaniem czy przyjmują wizytę. Lokaj powrócił z odpowiedzią, Niéma w domu! —

— Czy zostawiłeś bilet wizytowy?

— Zostawiłem.

I Józio pyszniąc się swoim powozem, koñmi i liberją, pojechał przez ulice, przez ulice, aż do swego domu.

Jak czarodziejski dla jego ucha, był ten wyraz mój dom! Całe szczęście jego było w tym wyrazie i razem całe jego nieszczęście. Mój dom — *cara, piccolina casa mia!* jak wołał jeden włoski poeta, mój dom —

jest to wcielone szczęście osób charakteru spokojnego, jest to sławne *home* angielskie, mieszczące w sobie *confortable* niepojęte u nas i nie wytłómaczone językiem naszym, które czuję jednakże, wchodząc do pokoju bogacza, do jego ulubionego pokoju, w którym on gości nie przyjmuje, tylko siebie.

Lecz Józio biény, ile razy marzył, jak ma swój dom, swój pokój urządzić, a w nim całe materjalne szczęście swoje, tyle razy żona i jej okropne *razem*, kładło się w poprzek na drodze do szczęścia. Postrzegł na ówczas że chybił bardzo, chcąc kupić szczęście, a sprzedając siebie. Ale coż było robić?

Spodzićwał się że jak Ezop z ciężarem, tak on sobie z żoną postąpi, wyrazić mowiąc że ją zje powoli. Niepomiarował jednak biedny że trzeba było mieć na to lepsze zęby, i że ludzie mogą jeść ludzi, ale nie jedzą kamiani.

Bo kamień zjada zęby, ale zęby nie zjedzą kamienia.

Tym czasem u Hrabiostwa, których nie było w domu dla Józia, odbywała się pierwsza stanowcza scena, miejskiego małżeńskiego pożycia.

Układano, kogo mieli w domu przyjmować.

Pani Hrabina chciała literatów, artystów

młodych elegantów i wszystkich osobliwości świata, to jest oryginałów uczonych i nieuczonych, brudnych i wykwiutnych, byle oryginałów.

Pan Hrabia chciał Hrabiów, urzędników, kapitalistów, bankierów, wojskowych i osób dobrego tonu, to jest pićrwszego tonu (bogactych, znaczących.)

Po długim sporze z godzono się na pomieszczenie tych dwóch pierwiastków i znich uformowało się towarzystwo bogato — ubogie i uczono — wykwiutne, rodzaj encyklopedij komicznój, do użycia państwa młodych. pandemonium szatanków we frakach z lornetkami, kafarnaum wktórem jak w graćiarni spotykać się miały najróżnorodnićjsze sprzęty życia, stare i potłuczone, nowe i zapomniane, przetarte i wyszłe z mody.

Przyszło narećcie do głównego punktu, na który długo zbierała się pani Hrabina.

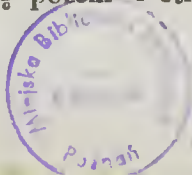
— *Józef Mateusz Szyszko!* odezwała się po cichu.

— Kto to taki? zapytał Hrabia.

— Dawny znajomy mojęj matki — odpowiedziała Hrabina.

— Młody czy stary, bogaty czy ubogi?

— Jego rodzice byli ubodzy z początku, zbogacili się potćm i stracili pćdko mają



tek, zostawując go sierotą bez majątku i przyjaciół. Wychował się na łasce jednego z krewnych, ale tak się teraz umiał dobrze pokierować, że się ożenił z dwumilionową panną, o której pewnie słyszałeś, z Panną Funcke.

— A to ten cośmy go spotkali wracając od ślubu.

— Ten sam.

— Minę ma strasznie zuchwałą, jak na dorobnika (parvenu), żona jego z familij kupieckiej, dodał Hrabia, czy chcesz go koniecznie?

— Nie wypadało by odmówić mu wstępu, słyszałam że w najpiérwszych domach przyjmować go będą. Dwa miliony?

— Tak! czyste dwa miliony, zawołał Hrabia, to nie fraszka, ależ moja pani Hrabino, jakąż za to wziął żonę?

— Ale dwa miliony? — panie Hrabio, dwa miliony złotych?

— Tak! znaczny majątek dla tego co wprzódy nic nie miał. Czy grywa w hista?

— Wątpię.

— Czy tańcuje?

— Nigdy.

— Więc na coż się z dał w towarzystwie?

— Człowiek z talentami.

— Do czego?

— Do nauk.

— A! literat! poeta! rzekł Hrabia — Dobrze! dobrze! będziem ich tu mieli kilku, to się z sobą bawić mogą. Ja cię jednak uprzedzam duszo moja, że jeśli mi się nie podoba, będę dla niego zimny jak tłómaczona książka.

— To od ciebie zależy.

— Zapewne! to ode mnie zależy.

I na tém się długa skończyła rozmowa, poniej każdy poszedł w swoją stronę nie pytając się drugiego.

Hrabina pojechała do sklepów.

U Grossa spotkała się z Józiem, który wysiadłszy ze swego koczka, przymierzał i darł rękawiczki niedbale, lornetując czasem przechodzące pod kolumnami damy.

Jak tylko ją zobaczył, nowy bogacz poskoczył ku nićj. Jego mina, ubranie, ton i sposób mówienia, tak były różne od tych, któremi ostatni raz w ogrodzie przemawiał, że Hrabina prawie go nie poznała.

Tam, w ówczas rozpaczając, pełen ognia i życia, cały w nadziejach, Józio był bardziej Maćkiem. — Mniej okrzesany ale otwarty, szczery, zapalony, zdawał się człowiekiem wielkich nadziei, wielkiego zapału.

Mowa jego była poetyczna, pełna obrazów, porównań, melancholij i dzikiego ognia skrytego w duszy, który iskrami spadał na słuchacza z każdego słowa.

Teraz Józio, nie Maćiek już ani trochę, oziębły, grzeczny, udawał powierchownością obojętną, szyderską, zimną, wielkiego pana, którego obowiązkiem i cechą jest nie czuć nic i żartować ze wszystkiego. Mowa jego złożona z samych przyjętych, oklepanych frazesów, była manierowana, sztywna, sucha, płaska, pospolita i nudna, uśmiewająca się, bez śmiechu, melancholiczna bez smutku.

Ubrany wytwornie, z lornetką na szyi, uperfumowany, podobny był do tych tysiąca mirliflorków, których główną zaletą jest, że są jak błyszczące zabawki dziecinne — jedném niczem błyszczącym.

Nie zostało w nim nic Maćkowatego, ani duszy, ani zapału — bo cierpienie jak długo robi człowieka ognistym i świetnym, a szczęście które jest stanem spokojnym użycia, przeistacza go w bryłę zimną i nieforemną.

Hrabina, poznawszy go, wielkiemi oczyma, na tę zmianę nie do uwierzenia patrzyła, nie mogąc pojąć jak jedna chwila, tak zupełnie odmienić może. Ale i ona sama, tak była inna od kilku dni!

Obojętnie szczęśliwa, bez żądań bez kaprysów, bez śmiechu i żalu, których jej okazywać, tytuł wymagający ciągłego szczęścia i powagi nie pozwalała, Hrabina nie była już Fantazją!

Józio postrzegł to także — ale się dziwił.

Przemówili do siebie słów kilka grzecznych, o balach, teatrze, potem wspomniawszy dawne rozmowy, jednozgodnie westchnęli, i spójrzawszy na siebie tak, że się zrozumieli zupełnie, pożegnali się zimno na pozór i odjechali.

Kupczyk który czytał tłómaczenie polskie Charakterów Teofrasta i La Bruyéra, uchodził za mędrca pod całemi kolumnami, odezwał się widząc ich siadających do pojazdu.

— Muszą się bardzo nie cierpieć!



X.

WOJNA DOMOWA.

Piérwsze dni pożycia Józia z żoną, oziębiły jój gorącą miłość i przez lat piętnaście nagromadzone w jój panienskiem sercu żądania. Uczuła ona, że próżno zaślepiać by się chciała, bo ją mąż nie kochał.

Józio zimny w duszy, a pełen grzeczności, uprzedzeń i wszystkich powierzchownych znaków miłości na pozór, był nadto młody, żeby mógł długo i dobrze udawać czego nie czuł.

W parę więc tygodni znaleźli się oboje małżonkowie przeciw sobie postawieni, grzeczni i zimni, z oczyma nawzajem w siebie wlepionemi. Rozwaga nastąpiła po piérwszych dniach miłości żony — i radości ze zbogacenia męża, zaczęli się przypatrywać sobie, usiłowali się poznać i odkryć ze zna-

ków niepostrzeżonych drugim, tajniki swoich myśli i charakterów.

Józio osobliwie wziął się do tego z zapałem, skutek bowiem tego poszukiwania, miał stanowić o jego przyszłym szczęściu.

Ona wątpliwa jeszcze, jak każdy żądający szczęścia, myślała, że w sercu męża, odkryje przywiązanie do siebie, którego nade wszystko pragnęła.

Wspólne więc niedowierzanie, szpiegowanie myśli i postępów, nastąpiło w parę tygodni. Od rana do wieczora patrzyli tylko w siebie i co dzień zaczynali dalej, od tego na czém wczoraj stanęli.

Niespokojność jakiej każdy w takim stanie zostający doświadcza, chwyciła ich w szpony swoje i odtąd szczęście poszło od nich daleko.

Ani Józio swego bogactwa, ani ona swego męża używać nie mogli, całkiem zaprzętnąwszy się tą nauką. Lukrecja stała się zimna, żaden pocałunek nie rozweselił ją, żadne pochlebstwo nie rozmarszczyło. Józio w koczach swoich, w teatrze, na wykwintnych obiadach nie czuł rozkoszy bogactwa, bo myślał tylko o żonie.

Oboje nareście doszli do tego, że się poznali powierzchownie, odkryli swoje nałogi,

sposób myślenia, sposób mówienia, słabości swoje i formę życia i obyczajów, formę jednostajną, którą ma we wszystkiem każdy człowiek.

Tak naprzykład sama pani, że mąż jej prawie zawsze odpowiada — Być może! — na wszystkie pytania mniéjszej wagi, że się nśmieża kiedy kłamie i zagryza usta kiedy jest niespokojny.

On wiedział znowu że jego żona patrzy w oczy ciągle kiedy kto do niej mówi, kiwa głową jeśli nie umie odpowiedzieć, mówi *Pan*, gdy się gniéwa, podskakuje kiedy się czego spodziewa i poprawia loki nudząc się.

Oprócz tych form znali już także, formy swoich myśli, sposób rozbiérania i uważania przedmiotu i punkta wiary zasadnicze w rzeczach religijnych i moralnych.

Tym sposobem rozebrawszy się przed sobą do naga, oboje, zaczęli się nudzić, wiedząc zawsze wprzódy co sobie powiedzą, co zrobią i jak.

I nie dziw. Dziecię z podziwieniem patrzy piérwszego dnia na czarnoksięską latarnię, lecz gdy pozna szkiełka wszystkie i mechanizm ich, w ówczas nie dziwi się niczemu, nie spodziewa się nic nowego i nudzi się. Tak samo i z ludźmi, póki są sobie obcy,

nowi, póty się poznając bawia, lecz jeśli w nich nie ma zgodności lub stosowności charakterów i przymiotów, poznawszy się, będą się nudzić.

Odtąd staraniem Józia, stało się ujarzmić żonę, staraniem żony, zapobiedz żeby Józia nowych znajomości i miłostek nie zaciągnął. Dla tego, utrzymywała starannie kontrolę domów, w których bywał i osób które znał, a potem szpiegowaniem, pytaniami podstępniemi, starała się dowiedzieć, czy się gdzie nie uwikłał.

Każda kobieta choć trochę zalotna, czyniła ją nadzwyczaj niespokojną, każda pochwala Józia przyprowadzała ją do rozpacz.

Widząc to nowy bogacz, poznał w całej rozciągłości nieszczęście swoje, on tak zakochany we wszystkich kobietach, miał w dalszym widoku, ciągłą zazdrość, nieufność i szpiegowanie żony. Na cóż mu się zdały bogactwa.

Lepiej było, pomyślał smutny odkrywszy że przyszłość jego, była czarną, okropną przepaścią, lepiej było pracować w izdebce czwartego piątra, chodzić w wytartej sukni, być często głodnym, ale śmiało uśmiechać się do każdej kobiety i mieć nadzieje — o! tak piękne nadzieje!

Lepiej było, ale już za późno, pomyślał Józef, zrobiłem niepojęte głupstwo. Cóż znaczą wszystkie rokosze bogactwa, przeciw jednemu cierpieniu bogacza, przeciw tym niewolniczym smutom ptaka, mającego klatkę złotą, ale klatkę. Suknia, mieszkanie, drobne wygody życia, uszanowanie ludzi, dla pieniędzy, których jestem reprezentantem, czyż mnie uczynią szczęśliwym? O! nie! A ja siebie sprzedałem, żeby pozyskać to wszystko.

Potem Józef szukał sposobu uszczęśliwienia się potajemnego przynajmniej, zaślepienia żony i przywrócenia jej do tego stanu zakochania, w którym zostając nie mogłaby nie widzieć, prócz swój miłości.

W skutek tego mimo odrazy, mimo obrzydzenia ku niej zwiększającego się codziennie, starał się okazywać jej wielkie przywiązanie, czuł miłość i wierność kochanka starego rycerskiego romansu. —

Ona wierzyła i nie wierzyła i wahała się, ale mimowoli wpadała w sidła.

Jednego poranka, po bezsenną i długim namysłem poświęconej nocy, Józio wybrał się do Pani Hrabinej.

Już siadał do pojazdu, gdy żona zbiegłszy aż na dół schodów, zdyszana zapytała go.

— Dokąd jedziesz ?

— Do... tak sobie — na spacer — tak —

— Na długo ?

— Nie wiem.

— Czy wstąpisz gdzie ?

— Nie spodziewam się —

— Powietrze mgliste i wilgotne.

— Ruszaj! *Au revoir, ma chère*. I kocz potoeżył się, a żona trochę niespokojna, została na wschodach.

— Dokąd pojechał? zapytała ją przechodząc ciotka.

— Nie odpowiedział mi, mruknęła skrzywiona Lukrecja, niby to na spacer. Moja ciociu, odezwiała się ciszej, jak powróci rospytasz się farmana gdzie był.

— Dobrze, bardzo dobrze, dam mu kieliszek wódki. —

— Jeśli potrzeba będzie, gotowam zapłacić, tylko żeby się on nie dowiedział.

— Spuść się na mnic, odpowiedziała ciotka głosem tajemniczym i Lukrecja wróciła do pokoju niespokojna.

Tym czasem Józio pojechał prosto do Hrabinej. Że ledwie była dziesiąta, gdy tam przybył, miał trochę trudności nim został wpuszczony.

Fantazja była jeszcze w gabinecie przy-

tykającym do sypialnego pokoju. Zastał ją z książką w ręku ubraną po turecku, w pantofelkach, w szerokich muślinowych pantalonach, w kurtce aksamitnej fioletowej, złotem wyszywaną. Garderobiana stała za nią i długim wachlarzem z piór strusich, oganiała muchy. Czarna kawa stała przed nią.

Ten dziwny strój nie zadziwił Józia, przywykłego do kaprysów Hrabinej.

Ona powitała go wdzięcznym od ust —
Salem aleikam (1)

— Uczę się po arabsku.

— Józio tylko się uśmiechnął.

— Co za wstyd dla nas, dodał prędko, dla nas niewdzięcznych Europejczyków, że otrzymawszy światło ze wschodu, zaniedbuję teraz zupełnie, poznania bliższego, tej kolebki, słońca cywilizacji.

— Idź precz Marysiu! zawołała na służącą.

— Potém usiadła z zakrzyżowanými nogami, a Józio niedaleko od niej.

— Tyś zimny teraz, dodała po chwili, tybyś nie pojął piękności ognistej literatury wschodu, wdzięku ich patryarchalnych obyczajów.

(1) Przywitanie to może być wedle osoby z którą się wita, od czola, od ust, od ziemi. —

— Pod względem wielości żon? zapytał śmiejąc się Józio.

— Mówię o czém inném — o obyczajach dzikich pokoleń! o Arabach, o palmach w oazach pustyni, o namiotach, o koniach.

O! tam żyć. Tam przekłeta cywilizacja nie tchnęła jeszcze zatrutych wyziewów anatomij i analizy. Tam jeszcze słońce się obraca, tam jeszcze piorun jest w ręku Boga, tam woda jest wodą, nie wodorodem i kwasorodem, tam wszystko jak Bóg stworzył, i —

— Tam kobiety są niewolnicami, dodał Józio.

— Ja nie jestem kobieta, odpowiedziała Hrabina.

— A to chyba! rzekł nowy bogacz, odmieniłaś się pani? w takim razie żegnaj i odchodzę.

— Jesteś dziccko! Pocóż przyszedłeś? Mów, bo szczerze ci się przyznam że mi przeszkadzasz. Dziś muszę przed obiadem, wyuczyć się, kilku kartek na pamięć z Grammatyki Volneja. Chcę koniecznie umieć po arabsku.

— To z czém przyszedłem, muszę na później zostawić, rzekł Józio — Miłość i Grammatyka wcale się z sobą nie godzą.

— O! wasza miłość, zawołała Hrabina,

jak wy ją dziwnie rozumiecie i bierzecie !

— Nie wiem, odpowiedział Józio, czy dziś chcesz orientalnej miłości. — Miłości jaką mużłmani prowadzą na bazar niewolnic ? — miłości w zamkniętym haremie, wdzierającej się pod łożę pańskie z przestraczem, kupioną za kieszę tomanów ?

— O ! wcale nie, rzekła trzęsąc głową Hrabina, ale bym tylko chciała, mniej tych różnych ozdób w miłości, drobnostek, technicznych wyrazów, oznaczeń, teorij. —

— A więcej działania ?

— Zgłupiałeś, zawołała Hrabina rzucając mu w oczy wachlarzem.

— Sama nie wiesz, czego chcesz. —

— Są takie momenta odpowiedziała Fantazja, że człowiek rozdrażniony, sam nie wie czego chce, podobno dzisiejszy ranek, jest jedną z takich chwil dla mnie.

— Będę cię prosił o jedną łaskę, rzekł Józio, całując ją w nogę i przyklękając przed nią. Czy kochasz mnie ?

— Ciebie ?? Ciebie jak wszystko, może kocham, może nie, kocham kiedy cię nie ma oziębnę gdy przyjdiesz. Ale wszystko zważywszy z wielu i wielu, może Józio najchętniej.

I pocałowała go w czoło.

— Zrobisz mi więc jedną łaskę ?

— Jeśli mnie nie kosztować nie będzie?

— Moja żona jest zazdrośna jak Sułtan Turecki, niepodobna mi więc będzie, bywać nawet u ciebie, kochać ciebie, jeśli ty sama nie dopomożesz mi do tego.

— A to jak?

— Zaprzyjajź się z moją żoną, ale zdecydnie.

— Naprzód nie wiem, odpowiedziała Hrabina, czy wart jesteś tak wielkiej ofiary, potem mój mąż będzie się temu dziwił, a że jest dumny może nawet nie pozwolić na to Bo żona twoja jest kupcowną.

Józio powstał zimny i gniewny.

— Nie dąsajże się, zawołała Fantazja, nie jest to jeszcze odpowiedź stanowcza,

— Dla mnie dość na tém, rzekł Józio biorąc kapelusz. Bądź zdrowa.

Wyszedł i drząc siadł do koczku. — Do domu! zawołał, konie polcciały. Przyjechawszy zamknął się u siebie.

Tym czasem ledwie furman miał czas odprządz konie, już ciocia stojąc na galeryi od dziadzińca wołała na niego.

— Wincenty! możebyś się wódki napił?

— Co? zapytał Mazur zdziwiony tą niezwykłą łaskawością.

— Może się wódki napijesz? powtórzyła Ciotka.

— A dobrze by było, odpowiedział.

— Chodź że tu do mnie.

— Zaraz, ono konie rozbiorę.

W chwilkę stanął u drzwi pokoju cioci, która z kluczykami chodząc, zaczęła go powoli wybadywać.

— A gdzieście to jeździli?

— Zwyczajnie po mieście, odpowiedział Wincenty kręcąc wąsą. —

— To pewno do sklepów.

— I nie, at zwyczajnie, jak to zwyczajnie, co to pan ma zwyczaj jeździć po mieście.

— Wstępowaliście gdzie?

— Co? czy wstępowali?

— Tak! boś ty pewno przeziął stojąc na dworze.

— Niebardzo! bo się niedługo bawił.

— A gdzież to?

— A to zwyczajnie u tej pani Hrabincj.

— Co to niedawno poszła za mąż?

— Bóg ci ją wie. Na Miodowej!

— To ta sama — A długo bawił,

— Z pół godziny.

— Dziękuję Jójmości za wódkę, dodał biorąc za klamkę.

— Na zdrowie Asanu.

I wyszedłszy ciotka poleciała do Lakresi.

— Powrócił? zapytała.

— Już, odpowiedziała Gryzelda z tajemniczą miną.

— Idź że proszę wypytaj!

— Jużem pytała, dałam mu dwa złote.

— Oddam iż ciociu! a cóż! siadajże —
Wstępował gdzie? bawił?

— Wstępował.

— Niewierny, ja przeczułam, ja wiedziałam że tak będzie, dokąd wstępował?

— Do Hrabinój.

— O! ta Hrabina! ja przeczułam, ja wiedziałam, ta Hrabina! oni się wprzódzy znali. To romans dawny. Moja ciociu, moja ciociu, co ja z nim poradzę.

— A to krótka sprawa, odpowiedziała radczyni, zbuzować go potężnie, wyświecić mu szkaradne jego postępowanie, złamanie przysiąg, zawiedzenie swojego serca — wyrzucić mu na oczy. —

— Wszak jeszcze nic nie wiemy?

— Jak to nic? wszak był, i to nie pierwszy raz?

— Dobrze — ale jeśli się tego nie zaprze?

— Więc spróbuj, zapytaj — jeśli zatai lub skłamię, będzie to dowód, że są gruszki w popiele i te odwiedziny nie bez kozéry. —

— Tak! jeśli się nie przyzna! poczekaj!!!

XI.

D A L E J.

I otóż Lukrecja układając minę jak najspokojniejszą, wszystkie niepokoje kryjąc w głąb serca, leci do gabinetu Józia, szuka.

— Kto tam?

— Ja.

— Zawsze ona! zawołał pocichu mąż, rzucając o stół książkę, którą trzymał w ręku — Proszę — Weszła.

— Jużes powrócił?

— Czas brzydki do przejazdki.

— Wstępowałeś gdzie? —

I wlepiła w niego oczy iskrzące, oczy zapalone, okropne oczy żony, argusa, węża, jaszczurki, meduzy, kobiety.

— Do Hrabinéj! odpowiedział Józio zimno i obojętnie. A pani która się spodziewała, kłamstwa, upadła z wysokości swojego gniewu i nie wiedziała już co mówić dalej.

Na szczęście Józio, który potrzebował tłumaczyć się, mówił dalej, nie zważając na zmianę jej twarzy.

— Byłem u Hrabini. Oddawna winienem jej był wizytę. Chciałbym żebyście się z sobą, poznały i poprzyjaźniły. — Ale ona tak dziwna kobieta, tak zimna, tak zdumiała teraz.

— Doprawdy? zawołała uszczęśliwiona Lukrecja, ma też z czego być dumną, z dawniejszej nędzy, czy z teraźniejszych pozłacanych długów?

— Ale ona nie jest taką zawsze. W tém i we wszystkim, Hrabina ma niepojęte paroksyzmy. Czasem jedna godzina, zmienia ją, tak zupełnie, jak nikogo lata odmienić nie mogą.

Na tém stanęła rozmowa, i ani Józio nie znalazł słów do dalszego jej prowadzenia, ani jego żona do odpowiedzi, bo przyszedłszy z całym zapasem nomenklatury gniw, nie mając się za co gniewać, nie umiała nic powiedzieć.

— Jesteś w domu na obiedzie?

— W domu.

— Dziś piątek, mamy wyborny pasztet z węgorza, a kucharz francuz od *Poizier*, obiecał mi zrobić dla ciebie *Pudding a la Chippolata*!

— Dziękuję ci za twoją troskliwość, moja droga, odpowiedział Józef smutnie. Jeżeli twoja łaska radbym widział na stole butelkę starego *Johannisberger*.

— Jakiego zechcesz!

— I kawę każ dawać zaraz po obiedzie, a niech ją robią mocniejszą i bez tój przeklętej cykorii, kakao i migdałów! osobliwie wygnaj z domu cykorią, jest to moja osobista nieprzyjaciółka! Jak mnie kochasz!

— Najchętniej, ja sama tego nie lubię.

I wyszła, Józio spójrzał na drzwi i z miną rozpaczającą rzucił się na sofę.

— Otóż jakie sobie szczęście kupiłem, szczęście złożone z puddingów, wina i kawy! szczęście bydlęcia! Przeklęty dzień, kiedy ją poznał, będą więc musiał stać się brzuchem, w braku innych przyjemności.—

Zapał do pracy, do nauki, chęć sławy, święty ogień poezji, wszystko we mnie zgasło, na progu tego domu!

Błyszczące nadzieje i słodkie łzy mojej dawniej nędzy, poniosły z sobą młodość i poezję, stałem się stary w jednym momencie.— O! moja izdebko ciemna, moje łóżko twarde, moje wysokie okienko, z wami byłem szczęśliwy, a teraz! — Nigdy niema tam szczęścia gdzie ja jestem!

Zamyślił się.

— Spodziéwałem się, przemówił po chwili sam do siebie, spodziéwałem się zrównać, z tym przeklętym szatanem, z tą Fantazją, która mnie dziś pchnęła w serce i chciała żebym ją za to w rękę pocałował. — Ale strzeż się Pani Hrabino, ja cię będę miał i to serce przebite skamienieje, gdy przyjdzie chwila zemsty. —

Ja dla bogactwa i dla ciebie, ożeniłem się z wcielonym szatanem, złota mi nie dość, ty zapłacisz resztę. — Będziesz moją — albo, —

— Do stołu dali.

— Idę — odpowiedział Józio.



XII.

DWIE PRZYSIĘGI.

— Zapytaj, czy Pani Hrabina przyjmuje, mówił Józio do służącego, tegoż samego dnia po obiedzie, siedząc w koczku przed jej mieszkaniem. — Służący powrócił z odpowiedzią.

— Prosi Pana.

Józio pobiegł, Hrabina siedziała już w swojej Bibliotece, trzymała wręku. — *Novelle* Bocacjusza.

— Jak to prędko na świeżym powietrzu, ludzie z gniéwu ochłonać umieją! Zawołała z suchym śmiechem spostrzegłszy go i od niechcenia rzuciła książkę, poprawiła czarną aksamitną suknię i włosy spięte złotym grzebieniem.

— Nie tak jednakże, jak się pani Hrabiniéj zdawać może, odpowiedział Józio prędko. Przyszedłem gniéwać się dalej, a nie przepraszać.

— Doprawdy? a to mogłeś gniewać się i na ulicy!

— Proszę mnie posłuchać, rzekł Józio trąc kapelusz i wlepiając w nią oczy iskrzące.

— Słucham przez kwadrans, odpowiedziała Hrabina patrząc na zegarek.

— Dość mi będzie pięciu minut, rzekł Józio.

Niechcę podstępnie działać, przyszedłem więc oświadczyć pani, że z nią będę prowadził wojnę. Zrobiłem ofiarę z siebie, nie dla bogactwa (skłamał) ale dla zbliżenia się do ciebie, oddałem swoją wolność, swoją duszę, zaprzedałem się, jedynie dla zrównania się z tobą. Chciałem żeby moje dwa miliony, zasypały przedział odgradzający mnie od ciebie. —

Tak więc kiedym poświęcił wszystko, poświęcę jeszcze co tylko będę miał w swojej mocy, żeby mieć ciebie. Każdy sposób będzie mi dobry pani Hrabino.

— To podłość zawołała Fantazja porywając się, chcesz że gwałtem dobyć serce?

— Serce! głupstwo! krzyknął Józio z szatańskim śmiechem. Niechcę twojego brudnego serca, możesz go oddać twemu szpicowi, twemu mężowi, twoim kanarkom jeśli chowasz kanarki. Chcę ciebie i będę miał

ciebie, po orientalnemu Pani Hrabino. Wszak uczysz się po arabsku?

— Sam nie wiesz co pleciesz w gniewie, szaleńcze, czyż myślisz przestraszyć mnie? albo przekonać o swojej miłości. Chcesz? przysięgnę że się mnie nie dotkniesz?

— Przysiąż, przysiąż, będę szczęśliwy bo ty złamiesz przysięgę. Przysiąż, a ja przysięgnę tobie na wszystko co chcesz, że będę miał ciebie, że ty sama przyjdiesz do mnie, sama rzucisz mi się na szyję.

— Głupcze, zawołała Hrabina, przysięgam ci na Boga, na moją matkę, na moje serce, będziesz mnie miał chyba umartłą, żywą nigdy.

— A ja przysięgam ci, na szatana, na moją żonę, na wszystko co jest i czego nie-ma, że będę miał ciebie.

— Zobaczym.

— Jedno z nas złamie przysięgę.

— Nic ja, wołała Hrabina rozgniewana, od dziś dnia twoja noga nie postanie u mnie.

— Tém lepiej. —

— Mój mąż będzie wiedział o wszystkiém.

— Oddam mu twoje listy, jeśli chcesz.—

— Jesteś podły.

— Być może, nie sprzeczam się o słowa,

bo nie uczę się żadnego języka i nie cierpię grammatyki.

— Odcślesz mi moje listy?

— Nie, pani Hirabino, chyba pod adresem jój męża?

— Zgubisz mnie! Mniejsza oto — nie lękam się — ale mieć mnie — o! nie — prędnij umrę! — Ja cię nie nawidzę.

— Ja cię kocham, o! ja cię kocham Hirabino, kocham więcej niż wszystko. Mówiłem i powtarzam wszystkie sposoby będą dla mnie dobre, wszystkie, miej się na baczności i bądź zdrowa — Żyj, przynajmniej póty, póki nie dopełnię przysięgi.

Wychodził już, ona go wstrzymała.

— Józiu! zawołała, tak żeś się to odmienił, czyż zechcesz mnie zgubić? żeby mnie posiadać, czyż nie lepiej było w imie miłości prosić mnie o moje — *serce*; niż chcieć mieć gwałtem, to czego nikt gwałtem mieć nie może.

Głos jój był powolny, wzrok łzawy, spójrzenie przeszywające i boleśne, widać było że się lękała strasznój przysięgi Józefa i chciała go zmiekczyć.

Ale on nie odmienił, ani wejrzenia, ani głosu.

— Kiedy ubogi umiera z głodu, rzekł

z zapalem, kiedy pamięć obowiązków, powinności, cnoty zagłuszy w nim głód wszechmocny, kiedy z człowieka stanie się dzikim zwierzęciem; czy go co wstrzyma, gdy ujrzy pożądaną chleba kawałek? Nie, przecz ciało swojej matki, po głowie swego dziecka, po karkach ludzi, przez krew i łzy pójdzie i wydrze choćby z życiem kawałek chleba.

— Czyżem ja jedna na świecie? zapytała drząc Hrabina.

— Dla mnie, jedna, odpowiedział Józef, ja jestem głodny, a ty jesteś kawałkiem chleba — i pożrę ciebie.

To mówiąc tupnął nogą i zatrzaskał drzwi za sobą, ale Fantazja otworzyła je prędko i przywołała go niespokojna. Strach opanował ją całą, widziała z jego oczu, słyszała w jego głosie, że dochowa przysięgi. — Lękała się o siebie, Myśl jej przebiegała wszystkie sposoby jakich mógł użyć, widziała siebie spodloną, poniżoną, widziała swoją starą matkę we łzach, cały świat pokazujący ją palcami ze śmiechem szyderskim.

— Chcesz że mnie zabić swoim przeklętym żartem, odezwiała się, patrz, ja cała drzę z przestachu.

— To nie jest żart pani Hrabino, odpowiedział pogardliwie Józio. U was między

bogaczami zimnemi, starémi sercem w dwudziestym roku, u was wszystko jest zimnym żartem, u mnie wszystko jest prawdą. — Ja byłem ubogi i mam serce ubogiego, ogniste i twarde, ja nie przysięgam darmo, nie przestraszam napróżno, ja czuję i działam. Będę miał ciebie, stracę majątek, zdrowie, imię, przedam się do ostatniego włosa, wszystkie godziny życia do samej śmierci, ciało moje po śmierci jeśli tego będzie potrzeba, ale ty będziesz moja.

Hrabina zamknęła drzwi powoli i znikła. Józef rozplonciony jeszcze tą sceną, zbiegł po wschodach, siadł do pojazdu i powrócił do domu.

Opisać stan jego myśli i uczuć, jest zupełnie niepodobna. Na wyliczenie zamiarów, które z niezmierną szybkością, roił jedno po drugim, nie stało by téj książki. One leciały jedno po drugim, jak iskry z ogniska, świeciły, płonęły i nikły — a ognisko tlało.



XIII.

PAN HRABIA.

Nie wiem co się roіło w głowie Józefowi Maćkowi, gdy we dwa dni pot m, pojechał z wizyt  do Hrabiego. Musiał jednak by c pewnym,  e mu  ona nic nie powiedziała, gdy śmiało i bezczelnie od pi rwszego przywitania wysypał mu jak z worka wszystkie formy o wiadcze  przyja nych, jakie kiedy mi dzy oboj tn mi i interessowan mi były w obiegu.

— Przyja ń moja bez w tpienia, nie b dzie panu *Hrabiemu*, ani tak drog , ani tak po adana , m wił ko cz c i kłaniaj c si , — jak mnie najl ższy dow d jego ku mnie  yczliwo ci. Odziedziczone po sławnych przodkach pana *Hrabiego* uczucia jego i przymioty duszy, s  niezawodn  r kojmi .

— Panie Dobrodzieju!

— Panie Hrabio,

— Prawdziwie,

— W istocie. —

- Gdybym. —
- Jeżeli. —
- Nie zasłużyłem. —
- Panie dobrodziej! —
- Panie Hrabio!

Taki był początek ich znajomości i Hrabia od pierwszej chwili, słysząc go ciągle prawiącego grzeczności, ciągle popierającego jego zdania, ciągle wspominającego wszystkich przodków jakich tylko mógł, tak gwałtowny powziął ku niemu szacunek, że jak tylko zniknął z salonu, zaczął się nad pochwałami jego unosić.

— Co za ułożenie! jaka grzeczność, ile światła, co za rozsądek!

I nie dziw, musiał być rozsądnym, kto zawsze mówił *tak*; bo ten tylko jest głupim u ludzi, kto na ich zdanie przeczeniem odpowiada. —

Hrabinię nie było w salonie — Freyschiitz zwabił ją do Teatru, a raczej niespokojność wewnętrzna, dla której potrzebowała silnej rozrywki.

Przysięga Józia wymówiona stanowczym głosem Maćka tkwiła w jej sercu, w myśli, i broczyła je długim strumieniem, wylanych przez siebie przeczuć.

Ledwie powróciła z Teatru, Hrabia

w szlafroku najświęźszym, w krymce aksami-
tnój, szytój złotem, w papuciach szytych zło-
tem, z książką wziętą dla proporcji na przy-
padek, ze złoconemi brzegami, wszedł do jój
sypialnego pokoju.

— *Bien bon soir, adorable amie!* za-
wołał widząc ją siedzącą w krześle za stołem,
rozebraną i pokrytą tylko batystowym pod-
włosnikiem, podobnym do fantazyjnego u-
bioru sylfów, kiedy je malarz, nieumiejący
rysować na giemi, zakryje bogatofałdzistą
zastoną.

— *Je vois bien, que cette infernale mu-
sique, vous a donnee un mal de tete* (Wi-
dząc że cię ta piekielna muzyka, bolem gło-
wy nabawiła.)

— *Oh! que non!* odpowiedziała Hrabi-
na, *la musique ne me fait point du mal,*
mais je suis souffrante depuis deux jours,
(mnie muzyka nie szkodzi, ale już od dwóch
dni jestem cierpiąca.)

I nie mi nie mówisz! rzekł Hrabia kła-
dnąc książkę, trzeba posłać po doktora. Co
do mnie ja zawsze utrzymuję, że będąc cho-
rą najlepiej siedzieć w domu. Powietrze,
wilgoć, ciągi wiatru, *brouhaha* opery, ścisk u
wychodu, to niezdolne, to zabijające. A przy-
znam ci się, że bardzo by mi było przyjemnie

widzieć cię gospodynią, w dniach, w których gości przyjmuję. Naprzód, żebym się mógł popyszczyć tobą. I pocałował ją w rękę. —

Powtóre że nie cierpię przyjmować sam gości.

A co dziś to straciłaś wielką przyjemność, miałem gościa znajomego tobie, który nas wszystkich zachwycił.

— Ktoż to taki?

— A to twój Pan Szyszko! co za człowiek! niedarmo go chwaliłaś. Co za układ! jak dobrego tonu! jak świątły! Prawdziwie szczerze go od pierwszego wéjrzenia pokochałem i czuję że będziemy przyjaciółmi. Podwójnie mu się dziwić wypada, zważywszy że był sierotą i to wychowanie, które okazuje we wszystkiém, sam dał sobie.

— Nie wiem z czego tak ci się mógł podobać?

— Ale ze wszystkiego! Jakżc! tyżes go sa ma zalecała, to twój znajomy od młodości!

— Prawda! ja też nie nie mam przeciw niemu, odpowiedziała Hrabina drząc i szarpiąc chustkę od nosa. Ale nie miał jak mi się zdawało, żadnego z tych świetnych przymiotów, które by mogły tak nagle zachwycić.

— Ma za to rozsądek czysty i — wszak sama chwaliłaś jego talenta?

— Tak! zapewne! ale nadto zapału! nadto młodości, nadto życia!

— Uformuje się i ostygnie na świetle. Ja sam będę się starał, dokończyć jego wychowanie, bo wiem już z góry, że nie wzgardzi memi radami i potrafi je ocenić. Czy znasz jego żonę?

— Nie.

— Przeklęcie się ożenił! szkaradną dostał panią. Gdybym go był znał wprzód, byłbym mu wyswatał daleko znośniejszą, a także milionową pannę, której szukają męża, jak igły na smieciisku. Prawda że jej reputacja trochę kulawa, ale kiedy już kto raz że- ni się dla pieniędzy, mógłby być sobie wyobrazić, że się żeni z wdową! Co się stało to się stało! ale mi go żal, bo to grenadjer ta Funckówna, ona go umęczy. — Cha! cha! jak sobie przypomnę jej nakrapianą twarzyczkę, trzeba było milionów, na osolenie tego pakenfleischu! Biędny chłopiec!

— Wszak go nikt nie ciągnął gwałtem.

— Tak! ale co się stało to się stało — Może ona i niedługoletnia, gruby kark — byle jaka apopleksyjka!

— Co też gadasz panie Hirabio!

— Bo nie wyobrażasz sobie, jak mi się podobał.

— Trudno pojąć, tak prędko, po znajomości.

— A cóż ty znowu Hrabino, jak dawniej przyjaźna, tak teraz oziębłaś dla niego.

— Mam przyczyny! odpowiedziała Hrabina.

— No! cóż to? pewno jakie plotki, pewno go niewinnie w jaką babską intrygę wmięszali.

— Nie, nie, wcale — ale, panie Hrabio, sam miarkujesz że człowiek który — który —

— Cóż znowu? co to jest.

— On — on się kochał we mnie.

— No, to coż straszego! cha! cha! tém lepiej! to dowodzi, że ma smak dobry, że ma oczy, że ma serce?

— Dla mnie, jest to nudne wspomnienie.

— Imaginacja! bądźmy się śmieli razem, o! będę go prześladował. Prawdziwie, dwa razy go więcej kocham, od czasu jakęś mi to powiedziała. Zgadza się więc we wszystkiem, o! będę go prześladował! cha! cha!

I po tych słowach które ulżyły odrobinę sercu Hrabini, on pocałował ją arystokratycznie w czoło, zapalił świecę, ziewnął i odszedł.

A Józio zbierał wszędzie wiadomości o

Hrabi, chciał on poznać i zgłębić jego charakter, skłonności, nałogi; w jakimś skrytym celu i tak dobrze, tak szczerze pracował (jak zwykle każdy w swoim interessie), że nakoniec wiedział o nim wszystko, co tylko ludzie wiedzieli.

Hrabia ostatni potomek familii dawniej możnej, lecz zrujnowanej arystokratycznym przepychem swoim i podróżkami za granicę. Wychował się w Paryżu, przy matce, wdowie, która pod pozorem jego edukacji zwiedziła pół Europy, w istocie dla własnej tylko przyjemności. Kobięta ta, filozofka osiemnastego wieku, wielbicielka Woltera, przyjaciółka od serca Diderota i Crebillona syna, czytywała zwykle wszystko co było najpluśgawszego w ekskrementach literackich osiemnastego wieku. Kandyd, Kmotr Maciej, Sofa, Powieści La Fontaina, Klejnoty (Diderota), Miłostki Henryka IV. i wszystkie książki drukowane w Knidzie i Cyterze, to jest w Amsterdamie i Brukselli, były jej najulubieńszą zabawką.

Zład wniesć łatwo, o sposobie prowadzenia się tej pani, a zatem i o wychowaniu młodego Jasia. Guwernerowie których przyjmowała do syna, wybierani byli w ten spo-

sób aby służyli dla niej także, to jest młodzi i przystojni.

Jaś więc urosł między matką kapłanką Baala, dobrego tonu, wśród książek gorszących, pod okiem guwernerów, których oczy, były najęte dla matki, nie dla niego. —

Wcześnie zepsuty, pieszczony, wcześnie stawszy się człowiekiem (*titulo pubertatis*) wcześnie też podupadł na umyśle.

I jak wszyscy ci, którzy się oddali roskoszom zmysłowym, stał się prawie głupim, a przynajmniej podobnym większej części ludzi niezdatnych do żadnej pracy wymagającej choćby najmniejszego wyteżenia umysłowego.

Materjalista co do życia, co do zasad, materjalista skutkiem zgłupienia, które mu być inszym nie dozwalało, Hrabia straciwszy matkę, która umarła z wodnój puchliny w pierśsiach, bawił jeszcze w Paryżu póki stan majątku i kwestje familijne, nie zmusiły go do powrotu.

Ożenił się naprzód bardzo bogato i tém podtrzymał upadający stan swoich interessów. Owdowiały znudziwszy się samotnością w domu, ożenił się jakeśmy widzieli raz drugi, częścią z nudy, częścią dla tego, że się ludzie żenili,

Charakter jego był żaden, bez energii, bez stałego w czémkolwiek postanowienia, w interesach spuszczał się na swoich komissarzy i nie więcej od nich nie wymagał tylko piędzi.

Sposób jego życia był zupełnie paryski, budził się o jedenastój, pił czekoladę, jechał na przejażdżkę, około piérwszój jadł śniadanie, potem w towarzystwie kilku *przyjaciół* bawił się do obiadu, lub jechał do Baletniczki, którą dla dania sobie miny paryżanina utrzymywał kosztownie.

Potem jadł obiad o piątój i siedział u stołu jak mógł najdłużej — potem jeśli był w towarzystwie kobiet, powiedziawszy im kilka wyuczonych na pamięć grzeczności, siadał do kart i w *rouge et noire*, w *écarté*, do którego zbierał gwałtem werbując zakładowników, w starego *lansqueneta*, w popularnego *faraona*, w zdraдлиwego *sztossa*, przegrywał lub wygrywał cały wieczór. Częścić jednak (skutkiem wprawy długiej zapewne) wygrany był niż przegrany.

Z resztą człowiek bez najmniejszego zapachu, bez talentu, czepiający się zawsze cudzych zdań, które ogłaszał nie rozumiejąc, zero najdoskonalsze, pokryte werniksem światowości i ułożenia, bez żadnój *passii* zimny, o-

bojętny, drażliwy tylko na śmieszność, obserwator najdrobniejszych przepisów etykiety, żył nie czując prawie że żyje, nie wiedząc dla czego i jakim sposobem i na co jak gałka billardowa która się toczy po suknie, bo ją ktoś popchnął.

Moda i nowość była jego bóstwem, Paryż wyrocznią. Aby mu się podobać jednym z pierwszych warunków, była oryginalność ubioru i świeżość jego. Trzymał dwa egzemplarze, *Journal des modes*, dla siebie, a *Le petit courier des Dames* dla żony, do przed pokoju zaś *Journal des Modes* Frankfortski.

Oprócz tego kładł u siebie na stole, wszystkie nowe, modne romanse i pisma periodyczne, w których tylko czytał rejestra i *feuilletony* dramatyczne, aby być zawsze *au courant* wszystkich nowin paryskich mody — księgarstwa i Teatru.

Z resztą wglowie jego nie było żadnej systematycznej, pojętej i zgłębianej nauki, ale tylko szmaty podarte encyklopedii popularnej, szmaty wszystkich wiadomości niekompletnych rozsianych i pozbieranych w rozmowie w dzienniku jakim, na teatrze. —

Prócz francuzkiego, umiał jeszcze język niemiecki, ale oba z używania tylko, wprawnie chociaż nie czysto, z tysiącem prowin-

cjonalizmów, przysłowiów schwytych w rozmowie z tancerkami *debutantes*, które z prowincji wiozły do Paryża wdzięki swoje na sprzedaż i głowę swoją do umeblowania. Mówiąc po francuzku wdzięcznie bardzo z paryska po szwajcarsku wymawiał *ehh* zamiast *r*, po niemiecku zaś zaczynał akcentem wie-deńczyk-ów.

Summa było to zero poprawne w hrabstwo i błyskotki scmilorowe.



XIV.

D O M.

Tym czasem u Józia w domu, w miarę jak on się częściej z niego oddalał, rodziły się nowe cierpienia, które go witały wracającego na progu.

Piérwszych dni wychodziła naprzeciw niemu niespokojność cicha, milcząca, z oczyma ognistými, z płonieniem w sercu, czepiała się, chodziła za nim, wypytywała, nudziła.

Potém usta jej otworzyły się, a przez nie wyleciał szmer niezrozumiały użaleń, w oczach zaświeciły łzy, w sercu zawrzały płomienie.

I po kilku dniach buchnął ten płomień z serca ustami, a w ówczas oczy już były suche, ten płomień objął Józia, opalił go, okopcił, osmolił i poparzył.

Ucickał z domu, ale o której bądź powrócił, zawsze na progu stała zazdrość wycią-

gając ku niemu ręce, prosząc go, aby ją zabił i uciekając od zabicia.

Dobrze jeszcze było póki prosiła, ale wkrótce proźby, zamieniły się w wyrzuty, w gniów, złość i otwartą wojnę, przychodziła do niego, szarpała go, budziła kiedy zasnął, kiedy nie spał usypiała go straszną piosnką od swistu węży i chóru dłużników. Sen, jawę, wszystkie chwile życia, jak harpja dotknięciem swoim splugawiła, spaliła, napęłniła udręczeniem niewyczerpaném, cierpieniem bez końca.

Z początku on mileżał. czuł się winnym i nie chcąc lub nie mogąc się poprawić, cierpiał jak w czyscu, czekając końca i ufając w koniec.

Potém spójrzał na siebie, na swoją nędzę złotą, na swoją przyszłość i oburzył się, nasrożył,

Wkrótce znalazł odpowiedzi na zarzuty, na gniów, na groźby, oddał wszystko co mu dano, każde słowo przykre, każde ukąszenie, każde cierpienie.

A od téj chwili w jego domu stanęła wojna u progu, rozgościła się po kątach, położyła się w łóżku małżeńskim, zabrała miejsce u stołu i od piwnic do szczytn rozrzuciła na każdym miejscu przyniesione z sobą oręże.

Odtąd nie było pokoju nigdzie i nigdy.

Żona jego podobna Salamandrze żyjącej w płomieniach, żyła w téj atmosferze krwawej i dusznej, wszystkie przymioty które w jej sercu lat 30, jak nieużyteczna broń, w arsenale leżały, obudziły się, powstały i stanęły w szeregach. Ona bohatercko zносиła tę wojnę, zwycięska prawie zawsze, silna swojem położeniem i główną wymówką. — Czém ty byłeś, kiedyś się ze mną ożenił? — mogła była wytrwać w tym stanie do śmierci.

Ale on spokojny, mało mówny, w sercu czém inném zajęty, co dziećmi czuł się słabszym do prowadzenia wojny, codzienn bliższym zupełnego poddania się pod jarzmo żony.

Ona miała na niego tysiąc sposobów, odmawiała mu pieniędzy, czerniła go w obecności osób, przeklinała go i łajała przy służących. Postawiony między jednym szatanem, który się go uczepił i nie puszczał, a drugim, który od niego uciekał, między żoną i Hrabinią, Józio przymuszony dwie razem prowadzić wojny, w obudwóch był słaby.

Interessem więc jego najpilniejszym, koniecznym, stało się, ukończyć wojnę domową, dla zwyciężenia w drugiej, trzeba było uspić zazdrość żony, jej niespokojność, trzeba było dać powód ważny częstym z domu u-

cieczkom, a razem przekonać ją że miłość, której nie czuł ani odrobiny, była tak gwałtowna, że ją nie stłumić nie mogło, nie osłabić.

Tak długo myślał nad tém, tak dobrze pracował, że nareście pani jego nieubłagana została — została spokojną, bo była — (jak to powiedzieć?) — Przy nadziei. — A w mieście tyle się znalazło zatrudnień prawnych, handlowych, literackich i Bóg wie jakich, że na każde wyjście z domu, miał bardzo ważne przynajmniej trzy powody.

A jeżeli Lukrecja jeszcze gnićwać się chciała, on usmierzał jój gniew, wybuchem czułości, staraniem dziccinnym o jój zdrowie, o zdrowie potomka, który go miał nadzwyczajnie obchodzić i tysiącem trzy po trzy, których go wojna domowa wyuczyła.

Tym sposobem ciągłe utarczki, zrzadziały i ustały powoli, biegły polityk Józio Maćiek, tak przestraszył żonę, tysiącem, chorób niebezpieczeństw, tak ją obsadził doktorami, flaszkami, poduszkami, a do tego jeszcze, tak zapisem kilkuset dukatów przeciągnął ciotkę na swoją stronę, że dość spokojnie mógł działać w interessie dopełnienia swojej przysięgi.

Niewiadomy nam plan jaki ułożył dla posiadania Hrabiniéj, bo Józio tak go ukrywał w sobie, tak umiał się ułożyć, tak się nauczył

udawać, że sama Hrabina zaczynała myśleć, iż ta przysięga jak tysiąc innych tego rodzaju pójdzie w niepamięć.

Ale on myślał tylko o niej i myślał ciągle. Między Hrabią a nim zawiązała się jedna z tych rzadkich przyjaźni, nieodstępnych, nierozrywanych, dożywotnych, które się tylko czasem widzieć dają między młodzieżą szalejącą lub interessowanemi starcami.

Całemi dniami siedzieli razem, jeździli razem, chodzili razem, jeśli się nie widzieli przez dzień jeden, nazajutrz pisali do siebie, posyłałi, dowiadawali się. — Wszystko co może podtrzymywać przyjaźń, pićniądze, obiady, potakiwanie, przejęcie kaprysów i gustów, użyłóm zostało do podbicia Hrabiego.

Fantazja nie wiedziała do czego to zmierza, ale widząc to, przeczuwała jakiś straszny koniec, jedyńm więc jój usiłowaniem było popsnąć wieczorem, co w dzień zrobił Józio. Używała do tego najzręczniejszej kobiéczej, szyderskiej, kłusającej obmowy, wywoływała zapomniane dawno słowa, czynności, ale na próżno, Hrabia przez grzeczność potakiwał żonie, lub milezał, ale obojętny nie słuchał po większej części co mówiła.

A potóm gdy się zeszli razem, wszystko zapomnianém było i Hrabia oddawał się z zu

pełném zaufaniem przyjacielowi, który codziennie większą miał nad nim przewagę, dokładném poznaniem jego bezsilnego charakteru.

Czasem Fantazja starała się inaczej tłómaczyć sobie cel przyjaźni Józia z Hrabią, widziała w tym tylko dumę dorobnika, który znajdował pochlebniém dla siebie związać się ściśle z człowiekiem dawnego rodu i dobrego tonu. Nie widząc nareście długo żadnych skutków złych z téj przyjaźni, uspokoiła się powoli, rzuciła się w zabawy, stroje w świat.

Tylko czasem jak sen lub przeczucie, stawał przed nią straszny Józio ze swoją przysięgą nieprzełamaną, przypominając jęj, że ona swoją złamać musi. W ówczas tłumaczyła sobie tę scenę żartem, chwilowém uniesieniem dawno zapomnianém i małoważném.

Ale głos tajemny przestrachu mówił jęj do ucha. —

— To nie był żart, on nie zapomniał!

I Hrabina drżała aż do jutra. — Jutro światło dnia, ruch miasta, szczegóły życia prozaiczne, wyprowadzały ją powoli z téj sfery podobniejszej do snu jak do prawdy.

Robiąc rachunek z modniarką, nie podobna wierzyć, że jest w życiu i na świecie, co więcej nad rachunek i pieniądze; kłóćąc

się o dukata, możnaż pojąć tych ludzi, którzy gardzą życiem i pieniędzmi.

O! prawda naszego świata, często jest nieprawdo podobną. Zimny w zapalonego, szaleńiec w spekulatora czyż uwierzyć mogą?



XV.

PIERWSZA I OSTATNIA PRÓBA.

Jednego wieczora kiedy pani Hrabina, siedziała w swojej Bibljotece, zapomniawszy zupełnie o scenie, która w niej niedawno odbyła się — bez oznajmienia, po cichu, wszedł do niej Józio — Maćiek.

Ona spójrzała tylko i wyczytała z jego twarzy, że przychodził, aby ją dręczyć, bo niósł w oczach i na ustach uśmiech Melistoclesa, uśmiech zwycięski, zimny, przeszywający, okropny.

Prędko powstała z krzesła i ręką drżącą wskazała na drzwi. On spójrzał na drzwi pogardliwie, ale się nie ruszył z miejsca.

— Zdaje mi się, że Panu mówiła, że go nie przyjmuję.

— Być może odpowiedział Józio, a ja jednak przyszedłem. Może Pani Hrabina będzie łaskawa, posłuchać mnie.

- Ani dwóch słów!
- Na przyjaźń jej męża!
- Proszę wyjść.
- Na listy które mam w kieszeni!
- Będę dzwonić.
- Pani Hrabina nie zadzwoni.
- Czegoż pan chcesz? dręczyć mnie?
mów — kończ i idź.

— Skończę za kwadrans, odpowiedział Józio i usiadł.

— Blisko pół roku temu pani Hrabino jak w tym samym pokoju, przy tym samym stole, złożyliśmy dwie przysięgi. Ja, przez ten czas w pocie czoła, trudziłem się, pracowałem, siliłem, aby moję dopełnić. Teraz pani Hrabino, daję pani do wyboru, albo rozwód który panią okryje niesławą, albo ciche i tajemne poddanie się losowi, z którym walczyć niebezpiecznie i bezskutecznie.

— Rozwód? Cóż to za dziecinne groźby? Myśliszże mnie przestraszyć mój panie tém co niema cienia podobieństwa? — Jeśli na tém siliłeś się pół roku, straciłeś czas na próżno.

— Przez ten czas, który pani straconym nazywasz, uzyskałem taką przewagę nad mężem pani, że dziś nikt mi jej w całym mieście nie zaprzeczy i nie wydrze. Hrabia wie-

rzy mi na słowo, to co ja powiem jest artykułem wiary dla niego. Ani ty pani, ani nikt w świecie nie potrafi go przekonać, że bym ja mógł się mylić, albo go chcieć oszukać. — Tak, pani, ja mogę mężowi pani wmówić co mi się podoba, moje słowo może cię zgubić, może cię zrobić nieszczęśliwą bez powodu i bez dowodu — tak — jedno moje słowo. Doszedłem do tego i jestem sobie pewny.

I nie myśl pani, żeby mi to przyszło bez pracy? Musiałem się poniżyć, spodlić, zrobić się pochlebcą, w oczach ludzi uchodzić za człowieka bez myśli i zdania, musiałem zniszczyć wojnę domową, przyczepić się do Hrabiego jak pijawka, nie odstępować go, pożyczać mu pieniędzy, dziczyć z nim, jego zabawy, rozpustę, grę jego, wszystko.

Myśliszże iżbym to uczynił dla głupiej sławy, dla głupiej dumy, jaką mieć mogłem ja dorobnik z Hrabiofskiej przyjaźni — Nie! szedłem tylko do swojego celu i teraz dwie godziny i dwa listy, z tych które mam w ręku, mogą zatruć całe twoje życie, Pani Hrabino. Jestem zdecydowany uczynić to, zgubić cię, jeżeli cię mieć nie będę, wydrukować listy, namówić twego męża, oskarżyć cię sam o cudzołóstwo przed sądem, przysiądź na to fałszywie jeśli będzie potrzeba.

Taka jest zemsta u dzikich, tak się mści Maćiek, zemsta, bóstwo nasze, którego wy nieczycie, zimni i apatyczni bogacze. — Myśl pani Hrabino, jedno z dwojga, alboś ty moja zaraz, albo jutro.

— Nie mam potrzeby myśleć, jestem niewinna i nie boję się potwarzy. Pan rób co masz czynić, ja wiem jak postąpię.

— Ja jestem pewny że cię zgubię.

— Więc zginę, odpowiedziała Hrabina zimno.

— Żal mi ciebie.

— Wychodź pan.

— Przyjdę za kwadrans, dowiedzieć się o skutku namysłów.

Lecz powtarzam jeszcze pani Hrabino, ja nie żartuję.

To powiedziawszy wymknął się zbiegł po cichu ze wschodów, i pieszko poszedł ulicą. Było już ciemno, a na zegarach biła dziewiąta.

Jednym susem poskoczył Józio do domu, w którym spodziewał się znaleźć Hrabiego, wbiegł do salonu, ledwie się uklonił gospodyni i przedarłszy się do pokoju gry, do którego trafił po dźwięku pieniędzy, stanął za krzesłem Hrabiego, który cały zajęty faraonem, nieuważał na jego przyjście.

W chwili kiedy jedna talia kończyła się,

a druga zacząć miała, przywitał się z nim i poprowadził go do okna.

— Dwa słowa mój Hrabio, mam tylko do ciebie, odezwał się spoglądając niespokojnie na zegarek.

— No cóż tam?

— Chcę żebyś wyszedłszy z tąd, czekał mnie z wieczerzą u Adeli.

Adela była tancerka Hrabiego.

— Najchętniej.

— Proszę cię, nie zapomnij o tém.

— Bardzo dobrze. Pożycz mi dziesięć dukatów?

— W ten moment.

— Nie zapomnij że Hrabio. Masz w tém własny twój interest i bardzo ważny.

Interest? Ale wiesz że ja się interessa-
mi nie zajmuję.

— Nie jest to interest prawny, ani pieniężny. Przyjdziesz Hrabio.

— Będę niezawodnie.

Spuszczam się na Twoje słowo — Bądź mi zdrów.

— *Au revoir.*

— I Hrabia co najspieszniej usiadł do kart wołając.

— *Attendez!*

Józio niewidziany wymknął się z salonu, obwinął w płaszczy i pobiegł do Hrabini.

Spodzićwał się że jej nie zastanie lub zastanie zmiękczoną. Leciał jak szalony, kwadrans już wybił. Tylnými schodkami znalazł się w bibliotece, Hrabina chodziła szybko.

— Kwadrans minął, proszę o odpowiedź.

— Wijdź pan z tąd i czyń co chcesz, bądź podłym, bądź zbójcą, zgub mnie, ale ja z bojaźni nie złamię przysięgi. Kobięta, która się rzuca w ręce mężczyzny nie oddając mu serca — jest; — jest tém, czego wymówić nie mogę, — najpodléjszą istotą!

— Pani Hrabina, czy kochała męża, idąc za niego?

— Wynijdź i nie pastw się nademną,

— Mam wyjść?

— W ten moment. Nic potrzebowałam i chwili namysłu. Wiesz, dodała z zapętem, gdybym cię kochała, mogłabym złamać przysięgi i przysięgę, byłabym je złamała, choćbym za to miała pokutować całe życie, całą wieczność! — ale cię nie nawidzę!

Józio rzucił się jej do nóg.

— Tyś mnie kochała dawniej! zawołał innym głosem, tyś mi mówiła przed szlubem Józiu, będziemy szczęśliwi.

— Tak! kochałam cię, ale w ówczas nie

byłeś podły, zuchwały i bogaty, byłeś, biedny, ubogi, sierota.

— Piérwsza miłość, wszak się nie zapomina?

— Ale kiedy piérwsza miłość, zmieni się w piérwszą nienawiść, zawołała Fantazja tonem zwycięskim, widząc go u nóg swoich, w ówczas ta nienawiść, jest stalszą od piérwszój miłości?

— O! droga moja, zawołał Józio — Maciek, masz prawo nienawidzić mnie, ale cóż mnie do tych podłości przyprowadziło? miłość ku tobie.

— I ty ten szal nazywasz miłością? I miłość to kazała ci się gwałtem, podłością dobijać zapłaty? Nie! to nie była miłość, ale ta żądza zwierzęca, w której byś opętany zabił mnie, dla otrzymania nędznej chwili rokoszy. Teraz — rób co chcesz ja nigdy Twoją nie będę.?

Józio powstał, otarł kolana, twarz jego ustroiła się znowu w uśmiech zimny i zwycięski, wziął kapelusz i rzekł.

— Zobaczymy!

— Kiedy będę miała być twoją, umrę, zawołała Fantazja.

— Umrę, kiedy moją nie będziesz! odpowiedział jej Józio z stałością Maćka — Zoba-

czym na czyj pogrzeb prędkiej zadzwonią. Ja idę, a za mojem wyjściem wybuchnie burza.

— Będę jej czekać.

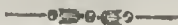
— Chcesz jeszcze kwadrans namysłu?

— Ani pół minuty.

— Więc Dobrze.

To mówiąc wyszedł głośno i starał się, aby go widzieli służący przemykającego się tajemnie, służący widzieli go.

Potém wybiegłszy na ulicę, spójrzył w okna, stanął, myślał, położył rękę na sercu, po tém na głowie i będęm pobiegł do mieszkania Adeli tancerki.



XVI.

GOSPODARSTWO ADELI.

Na Krakowskim Przedmieściu, niedaleko Dobroczynności, na trzecim piętrze jednego z nowych domów, Adela zajmowała najęte dla niej przez Hrabiego cztery pokoiki.

Te cztery pokoiki z oknami na ulicę, były ozdobione przepysznie jak na mieszkanie tancerki, bo Hrabia i w tém chciał się pokazać Paryżaninem. Meble były mahoniowe, zwierciadła w ramach złotych, piękne dywany rościęły się pod nogami w saloniku małym jak naparstek, wdzięcznym jak kobiéta, kiedy chce czego dostać. Na oknach stały wazon y białe, zgrabne, a w nich świece i rzadkie kwiatki, ten symbol odwieczny wdzięków i ich znikomości, do którego zacząwszy od ksiąg Joba, a skończywszy na P. Lamartine, wszyscy porównywają ludzi, a osobliwie kobiety.

A nad oknami zwieszone fantazyjnie jak obłona nic nie zasłaniająca, uśmiechały się białe z karmazynowem firanki, Potém były stoliki, a na jednym z nich zegar wyobrażający miłość, zatrzymującą czas.

A propos było wyborne.

Na, ścianach angielskie ryciny odżywiały swoim kolorytem i bogatemi ramami ciemno niebieskie tło salonu.

Nie mówię już nic o rokosznej kanapie, o kanapie miękkiej, szerokiej, niskiej elastycznej, o kanapie której biografia, była może bardziej zajmująca od owój sławnej.

Ale była jeszcze w tym saloniku jedna rzecz tajemnicza, która mu więcej niż wszystkie meble, niż kanapa nawet, dodawała wdzięku. Były to drzwiczki małe ukryte zwierciadłem, otwierające się cicho, nad któremi siedziało milczenie trzymając palec na ustach i rokosz uśmiechająca się liglarnie i sen. Te drzwiczki, nieznaczne, małe, prowadziły do głównego pokoju, do pokoju symbolicznego, do sypialnego.

O! niech mi kto pożyczy pióra i cierpliwości na opisanie tego kąta, którego najmniejsza ozdoba, najnieznaczniejszy odłamek zawierał cały charakter mieszkańca, całą jego historję, całe życie i całą przyszłość!

Prawda — są ludzie tak skryci, taką wzbromieni hipokryzją, tak czarni we środku, że ich uczuć i skłonności, niedojrzysz ani z miny, ani z mowy ani z ubioru, ani ze sposobu życia, ani nawet z ich sypialnego pokoju — Ale u młodego chłopca, u tancerki, całe ich życie rozsypane jest w mnóstwie drobiazgów po kątach.

Ten sypialny pokoik wart był przeniesienia do muzeum starożytności, w lat trzysta.

Wyobrazcie sobie rodzaj wielkiej alkowy, jedno okno i to zasłonięte kwiatami i firankami. — W głębi łóżko piękne, mahoniowe z bronzami, okryte dywanem wielkim rozciągającym się po posadzce całego pokoiku.

Po tém stolik wielki, na nim kilka książek, pełno kartek, biletów, dzwonek, flaszki z perfumami, flaszki z lekarstwami, z kosmetykami, z tysiącem innych płynów, niewymagając antyspazmatycznej pomarańczowej wody. Potém obok rzucona suknia króciutka, niezłożona, poplamiona, dwa skrzydła, kształtu tych jakie oddawna noszą aniołowie, miłość i zeliry. . Dalój, pół na krzesle, pół na, stoliku trykoty różowe zachowujące jeszcze formę, pięknego ciała które okrywały — potém loki, maska, kapclusz męski, z dziesięć par podartych różnokolorowych rękawiczek,

słoiki i słoje, rysunki mód i loki podarte, gorset rozcięty nożem *in periculo*, trzcwiczki przydeptane, kilka funtów cukierków, szal stary, szal nowy, chustek kilka, bukiet i wieniec kwiatów robionych, koturn, zasłona, sztylet, gitara, i kapelusik różowy, rzucony na środku o ziemię.

To wszystko pomięszane, pogniecione, rostrzęsione po całej alkwie, było obrazem zachwycającym młodego rostrzepania, niedbalstwa i tego braku porządku, który rodzi zwykłe życie, obojętne na jutro. Zdawało się że w téj alkwie, wszędzie napisane były, te sakramentalne słowa.

Dziś nasze, jutro losu.

I w tych sprzętach trywialnych, pospolitych, był rodzaj poezij, którą im nadawała młodość i wdzięki ptaszka téj klatki.

Bo czegoż młoda twarz, serce młode, czegoż młodość nie upiękni, muie się zdaje że i żaba jest piękną, póki młoda.

A na ścianach niedbale poczepiane wisiały różne wstążki, torebki, woreczki, kapelusze, maski, między niemi znowu wyglądały portrety *Marion de l'Orme*, *Zofij Arnult* z podpisem, który na swoim wiejskim domu położyć kaziała.

„Multa remittuntur ei peccata, quia dilexit multum“ i sławnéj *Ninon de l'Enclos*, którój wdzięki przeżyły trzy pokolenia wdzieków i wielu, wielu sławnych. Między niemi nad kominem, otoczony wieńcem nieśmiertelniczek (niewiedzieć dla czego) uśmiechał się buziaczek panny Adeli, do jój łóżka.

Nie było by dokładném opisanie tego pokoiku, gdybym zapomniał dodać, że atmosfera jego ciepła, napełniona była zapachem kwiatów, perfum, rękawiczek, pomady, wina, atramentu i błota.

O! niczém był strojny salonik panny Adeli, czysty, cnotliwy, przystojny, niczém był pod względem charakteru, życia, poczci, w porównanie tego rokosznego pandemonium, którego ściany widziały może rokosze rokoszniejsze od wielu i wielu pokojów sypialnych na wsi i w mieście, o którego sufit obijały się może odgłosy pocałunków, niemających rywalów w całej Warszawie — a to wielka pochwała.

Takie było mieszkanie Adeli, a jój gospodarstwo i dom cały składały dwie sługi, jedna stara, druga młoda, jedna zatrudniona szczegółami grubszeimi, druga ubiorem pani i jój mieszkania.

Adela powróciła była z teatru przed chwi-

lą i położyła się z karmelkiem w ustach na kanapie, śpiwając jakąś arielkę, gdy pierwsze drzwi zadzwoniły i wpadł galonowany Kamerdyner.

— Pan Hrabia będzie tu na wieczerzy.

— O! przeklęty twój Hrabia, odezwała się Adela głosem dzieciinnym, mnie się tak spać chce, tak jestem zmęczona! — Ruziu!

— Co pani?

— Pan Hrabia będzie na wieczerzy, myśl że oniej oto masz dukata, wino wezmiesz na kredyt.

Ruzia pobiegła z Kamerdynerem i tam w przedpokoju, nim się wybrała do miasta, zaczęła z nim jedną z tych starych scen, które widujem dotąd na teatrze, między subretką i *La Rose* lub *La Fleurem*.

Drzwi zadzwoniły znowu przeciągle.

— Kto tam? kto tam? zawołała porywając się Adela.

— Nie bój się to ja, odpowiedział Józio wchodząc.

Ale Adela położyła rękę na serce, spuściła oczy i oddychając szybko,

— Ach! jakżeś mnie pan przestraszył! zawołała zalotnie. A potem spójrzała na niego z pod głowy z pół uśmiechem tak przemawiającym, że trzeba być Maćkiem zapalczy-

wym i złym, żeby jój u nóg nie położyć miliona za jeden pocałunek różowych jój ustek!

Ale on, sucho zimno, powiedział tylko przepraszam, i usiadł właśnie w takićj postawie w jakićj Hogarth odrysował męża, na drugim obrazie *Modnego małżeństwa*.

— Będę czekał na Hrabiego, dodał po chwili.

— Pan jesteś smutny.

— Jak piekło! odpowiedział Józio.

— Gniewasz się na kogoś.

— Smiertelnie.

— Na kobietę?

— A na kogoż bym się miał gniewać:

— Daruj jój pan — Ja cię za to pocałuję —

— Ty byś mnie i bez tego pocałowała.

— Bała bym się ust odmrozić! odpowiedziała Adela skrzywiona.

— Hrabia pewno nie tak zimny?

— Przynajmniej tak zimnym się nie wydaje.

— Ja cały jestem w płomieniach.

— Trudno uwierzyć.

— W płomieniach gniewu.

— Uciekam! zawołała Adela śmiejąc się, ale niernszając się z mićjsea.

— Zostań, a zobaczysz że nim wieczór minie, pięknych się tu dowiesz rzeczy.

— Ach! tak jestem ciekawa!

Drzwi zadzwoniły jeszcze. Józef porwał się myśląc że Hrabia przychodzi, ale to była Różia tylko z wieczerczą i winem.

Ona nakryła w salonie stół na trzy osoby i postawiła na stole trzy butelki.

— Nie dawaj nożów, odezwał się Józio, bo nożami pokaleczyć się można.

Ruzia figlarnie spójrzała na swoją panią i odpowiedziała.

— Są rzeczy co gorzej od nożów kaleczą!

— Czy nie możesz mi powiedzieć co to takiego,? zapytał Józef.

— Oczy kobiety, odpowiedziała służąca —

— Oto masz na wino, przynieś nam trzy butelki szampańskiego. Siadł znowu i myślał.

— Jakiś dziś grzeczny, odezwała się Adela, doprawdy gniew twój bardzo słodki! pójdziesz go szampańskim winem! co to za gniew pocziwy, kiedy się tak upija, jak radość i miłość.

— Ale jak się upije, przerwał Józio—Maciek, niech noże poodbierają.

— Co te noże ci szkodzą? Doprawdy, hałabym się, gdybym — Ale powiedz mi wszak przynajmniej nie na mnie się gniewasz — Bom ja cię gotowa przeprosić. Ja się tak boję strachu!

I stuliła rączki, podniosła oczy, potem wyskoczyła z kanapy i spoglądając na Józia, zaczęła, na środku saloniku jeden z tych rokosznych baletniczych tańców, w których zdaje się że wiatr ubrany w sukienkę tańcenje po powietrzu —

— Na ciebie któżby się potrafił gniewać, rzekł Józio, biedny motylku! tyś tak dobra!

— Kto to widział tak chwalić! zawołała tupając nożkami Adela, to tylko pieski są dobre i ciasteczka.

— Tyś tak piękna!

— I pieski bywają piękne.

— Tak wdzięczna, tak miła, tak luba.

— To to co innego.

I rozmowa ciągnęła się dalej z niczego w nic, bo o czémże można mówić z tancerką.

Józio zdawał się mieć zupełną, przytomność umysłu i gotował się do dopełnienia najokropniejszego uczynku, na jaki rozpacz i dzika zemsta naprowadzić mogła, z zupełną krwią zimną, z namysłem, z rachubą zbrodniczą.

Drzwi zadzwoniły i na ten raz wszedł Hrabia śpiewając i zaciągając ręce.

Ma bergère — „

Znajoma piosneczka Boufflersa płynęła mu z ust powoli.

— Co widzę? ty już tutaj Józiu.

— Od półgodziny, Hrabio, zawołała Adela i smutny zły, jak popielec.

— Wygrałem sto dukatów, rzekł Hrabia i oddaje ci długi. To mówiąc sypnął pieniądze na stół a pauna Adela policzyła je, jednym ukośnym spojrzaniem, tak była wprawna!

— To dla Adeli, na cukierki! rzekł Józio.

— Ach! mój Hrabio, pozwól że mi go za to pocałować.

— Nie wiem na co się tu zda moje pozwolenie, rzekł Hrabia rzucając się na kanapę, kiedy on półgodziną przyszedł przede mną.

— A to słicznie!

— Każ dawać wódcę!

— Ruziu! Ruziu! zapomniałam, poszła po wino — No coż Hrabio—wolno go pocałować?

— Byle tylko przy mnie.

Adela pobiegła ku nieczulemu wdzięcząc się tak słodko, że innemu byłaby wszystkie świata zemsty wypędziła z serca.

— Daruję ci twój pocałunek, w dodatku do cukierków, rzekł Józef zimno.

— Weź że swoje pieniądze! kamieniu! zawołała Adela, rzucając mu pod nogi dukaty.

— Gnięwasz się?

— Gnięwam się.

— Chcesz żebym cię przeprosił? wybacz Adelko, nie schylę się po te dukaty i nie przeproszę cię, bom słaby, zły! —

— Uważam że jesteś w czarnym humorze, odezwał się Hrabia, co to takiego? pewno żona!

— Dowiesz się wprędce —

Nareście dano wieczerzę — Józio pił i nalewał niezmiernie, już wino szumiało w głowach, a Adela śpiewała całując Hrabiego, gdy on stuknąwszy pięścią o stół, zawołał —

— Słuchaj Hrabio! dowiesz się rzeczy wielkiej wagi. Moja przyjaźń dla ciebie, nie pozwala mi ci utaić tego, co bym we własnym interesie skryć powinien przed tobą. —

— Cóż to jest?

— Musisz się rozwieść z żoną.

— Ja!

I porwał się drżący.

— Ona cię zwodzi —

— Dowiedzisz mi tego! Józefie, Józefie, mój honor, moja żona!

— Twój honor nie może zależeć od prowadzenia się kobiety.

— Moja żona —

— Musisz się rozwieść Hrabio!

— Dowody! dowody! wyzwę cię, zabiję — Józefie! dowody! ja! ja! moja żona —

— A naprzód dowiedz się, że jój kochan-
kiem jestem — *ja*.

— Ty! i Hrabia porwał się do noża.

— Teraz że dowody! rzekł Józef zimno,
oto masz listy pisane do mnie przed ślubem.

— Ach! ja nieszczęśliwy.

Porwał, spójrzał, siadł i porwał się zno-
wu.

— Będziem się bić! Józefie! bijem się
zaraz! —

— Kiedy zechcesz. Ale pamiętaj Hrabio,
że moja przyjaźń dla ciebie musiała być wiel-
ka, kiedyś dla niej poświęcił siebie i ją. Kie-
dym nie chciał żebyś był oszukiwany i zau-
fany, pamiętaj że chociażem uległ wdziękowi
kobięty, tak jak ty byś się im pewno nie oparł
będąc na mojem miejscu; jednakże miałem ty-
le *poczciwości*, że pierwszy doniósł tobie
o twojem nieszczęściu, abyś się ratował jedy-
ną ucieczką drogą — rozwodem. Teraz Hra-
bio, zabij mnie jeśli chcesz.

Hrabia stał drżący, siny na środku pokoju
w rękę trzymał nóż i zdawał się myśleć jak
ma sobie postąpić. Potém nagle rzucił nożem
o zwierciadło, które roztrzaskał w kawałki i
usiadł za stołem.

— Niech przepadnie żona i świat cały, za-
wołał passując się z gniewem, mam przyjaciela.

I podał rękę którą Józef scisnął. —

Potém była chwila milczenia straszniejsza od burzy, w czasie której Adela drżała, jak ptak nad którego głową, leci sęp lub jastrząb.

W téj chwili gniew Hrabiego przygasy obudził się, znowu ręce drżały i wzrok się palił.

— I tyś mnie zradził, zawołał, ty! któremu tak zaufałem! a! teraz rozumiem dlaczego moja żona ganiła cię zawsze, gdy ja chwalił. O kobiety! kobiety! przyjaźń przyjaciela!

— Nim wykluiesz przyjaciela i przyjaźń zawołał Józef, powiedź mi Hrabio, czy ty zostawiony wszystkim zalotnościom, przymileniom, kobiety, którą kochałeś od młodości, nie uległ byś jej choć raz. — Uległbyś, i z tą różnicą, że nie przyszedł byś jak ja w imię przyjaźni, powiedzieć o tém, mężowi. Sądź mnie jak chcesz — Raz tylko uległem jej, raz, dziś, i moja przyjaźń nie dozwoliła mi dłużej nad kilka godzin utaić w mojem sercu krzywdy, jakąm tobie uczynił. Cóż na tém stracisz Hrabio, rozwiedziesz się.

— Rozwód jest zawsze plamą, zawołał Hrabia w rozpacz, wołałbym stracić majątek! rozwód będzie tłumaczony przez cały świat. każdy, wezmie go inaczej — Ach! wołałbym stracić majątek. Na cożes mi to powiedział? —

— Miałem że cię oszukiwać?

— Słuchaj, zawołał po chwili Hrabia zatrzymując się, wszak prócz nas nikt o tém nie wie?

— Zdaje mi się, jeżeli — jeżeli twoi słudzy nie widzieli mnie wychodzącego lub wchodzącego do niej? —

— Słudzy! to nie — na to można dać powody, ale więcej nikt?

— Adela —

— Adelę, zapłacę! zawołał Hrabia — Ty wszak nikomu nie powiesz —?

— Hrabio! wrzasnął Józef — co myślisz?

Utaić wszystko, wyślę żonę na wieś, wolę to skończyć cicho, niż rozwodem. Rozwód u nas jest trudny, kosztowny, rozwód dla powody do tysiąca plotek.

— Więc myślisz żyć z kobietą, która mając jednego kochanka, znajdzie ich potem stu, która nie dbając o swoją sławę, skompromituje ciebie, chcesz że wystawić się na śmiech całego świata?

— Lecz rozwód! zawołał Hrabia, ja nie mam, ani dość stałości, — ani — — pieniędzy.

— Ty jesteś mi droższy nad wszystko, zawołał Józef, wymagaj odemnie pomocy, dam ci pieniądze, ułatwię.

Ty, więc masz w tém interest?

— Twojej przyjaźni Hrabio i żaden więcej.

— Nie pojmuję !

I usiadł przeciągając ręką po zmarszczo-
ném czole —

— Jutro będziem się bić kiedy tak ! — o-
dezwał się po chwili.

— Dobrze —

— Pojedynek będzie tylko formalnością ,
skrzyżujem szpady.

— Najchętniej —

— A jeśli moja żona nie zechce rozwodu ?
jeśli się zaprze ?

— Masz listy, krzyknął Józef cały w pło-
mieniach, masz mnie, masz służących za świad-
ków, którzy mnie widzieli wychodzącego z
biblioteki.

— Gdyby to można skończyć cicho —
odezwał się Hrabia powoli po namyśle.

— Twoje imie, twój honor Hrabio !

— Prawda ! mój honor ! zawołał z we-
stchnieniem — Ach ! Józefie uczyniłeś mię
bardzo nieszczęśliwym, zatruteś moje życie ,
tak spokojne, tak rokoszne.

— Znalazłby się drugi, gdyby mnie nie
było, rzekł oskarżyciel, a w ówczas Hrabio ty-
byś o tém nie wiedział od niego, ale byś uj-
rzał swoje nieszczęście dopiero w ówczas,
gdy świat cały śmiał by się z ciebie.

— Ten rozwód przeklęty! te burze! zawołał Hrabia, chowając listy do kieszeni — Już nie powrócę do domu, z tą napiszę do żony, nie chcę ją widzieć więcej. —

— Tém lepiej Hrabio, jeśli zabraknie przyczyn do rozwodu, przeciwna strona będzie mogła postawić Adelę.

— Mnie!! zakrzyknęła, tancerka — mnie! moje imie!

— A to wyborne, zawołał Józef, masz że jeszcze co do stracenia, panno Adelo, prócz wdzięków?

— Mnie, moje imie! mieliby włóczyć po sądach — Panie Hrabio! wychodź pan! nie chcę pana znać i widzieć! Na miłość Boga!

I zaczęła płakać!

— Nie bój się, rzekł Hrabia, nikt cię nie zaczepi.

To mówiąc podparł się na stole, utulił głowę wręce i zamyślił się.

Józio — Maciek wymknął się po cichu. —

XVII.

POWRÓT DO DOMU.

Od mieszkania Adeli do domu, Józio idąc miał czas wéjść w siebie, zastanowić się nad tém co czynił, nad tém co miał czynić. Chłodne powietrze wieczora zgasiło resztę gniewém już rospędzonych iskier upojenia, z zimną krwią roztrzasać zaczął swoje postępowanie, nazwał się występny, potém sam przed sobą tłómaczył się obłąkaniem, miłością, potém wmówił w siebie, że cofnąć się — niepodobna.

Zgubić kobietę niewinną, osławić ją przed mężem, splamić jej dobre imie przed światem, napełnić żalém i zgryzotą ostatnie dni życia jej staréj matki — było to okropnym występkiem.

Najzajadléjszy téż egoizm przewodził temu szkaradnemu postępkowi, egoizm ze skrzy-

dłami miłości, mający w ręku sztylet zamiast strzały, oczy otwarte, serce rospalone i twarde jak kawał kamienia.

Jedna tylko myśl dręczyła występnego, nie żal z popełnionej zbrodni, nie smutek po utraconym pokoju duszy na zawsze, ale przekonanie, że gdyby był umiał, byłby w imie miłości otrzymał to czego próżno domagał się strachem jak zbójca.

Hrabina sama powiedziała mu, że byłaby jego, gdyby go kochała — A odtąd mogłaż go kochać?

Szedł i myślał.

— Nigdy jęj mieć nie będę, albo —

I widział w oddaleniu przed sobą ofiary okropne, jakimi mógł okupić posiadanie téj kobiety.

— Dla czegoż jęj tylko pragnę, pytał sam siebie.

— Dla tego, że jęj jednęj mieć nie mogę, odpowiadało mu sumienie — Więc przeznaczeniem mojem było zawsze drapać się tam, gdzie najtrudnięj dojść człowiekowi. I zawsze dręczyć się — Ubogi chciałem bogactwa, bogacty chciałem zakazanej miłości, którą miałem będąc ubogim.

I — szedł, serce mu biło, zazdrościł w duszy, tym którzy spokojni, chcieli tylko tego co

mieć mogli. Oni szczęśliwi, bez udręczeń, bez żądań, bo je natychmiast widzieli uskutecznione, zachodzili mu drogę, pokazując sprzeczną jaką była między nim a niemi.

Widział w oknach spokojne głowy kapitalistów oddychające powietrzem nocy świeżem i czystem, potem kupcowe wracające z targu odmawiając pacierze, i zestarzałego Biuralistę, z parasolem w ręku, w okularach i rodzaj machiny do pisania *cum omni formalitate*, dążącego mierzoną krokiem pod dach. — Słyszał nie jedną piosnkę u fortepiana, nuconą powoli, głosem spokojnym i nie jedną rozmowę omdlałą, drzymiącą i nic jeden śmiech metodyczny odkrywający cały charakter wesołego i nisko pod nogi tylko patrzącego człowieka.

Tysiąc obrazów śmiejących się, cichych, przesunęło mu się przed oczyma, nim doszedł do domu, a za każdym głosem wewnętrzny drapał go po sercu i pytał.

— A ty czemuś niespokojny?

Przyszedł nareście i zamyślony wszedł do przedpokoju. — Kilka głosów żywo rozmawiających słyszać było z salonu, posunął się otworzył drzwi i ujrzał przy swojej żonie siedzącą — *Hrabinę*!

Cofać się? zostać? gniewać się? witać?

smiać się? czy uciekać? Józio nie wiedział co zrobić. — serce jego zachwiało się i przeleciało po piersiach, oczy zaćmiły się i stanął wryty.

— To on! zawołała Hrabina zakrywając oczy:

— To ja! powtórzył Józio odzyskując całą przytomność umysłu, na jaką mógł się zdobyć —

Tak! to ja pani!

— To ty! bezczelny zwodzicielu! krzyknęła jego żona głosem Meduzy, nie mogąc się porwać z kanapy — Wiem wszystko!

Hrabina powstała i chciała wychodzić.

— Zatrzymaj się pani, rzekł Józio, chwytając ją za rękę że złością. Coż pani powiedziała mojej żonie? —

— Wszystko!

— Nie wszystko pewnie! zagrmiał o skarżyciel. Żono, ta kobieta kłamie, ona sama zwiodła mnie, przynęciła do siebie, ona sama rzuciła mi się w ręce, kiedym ją odpychał, ona sama nie zaprze się swoich listów.

— Swoich listów! zawołała Lukrecja.

— Połowę ich przed chwilą, oddałem Hrabiemu, rzekł Józio, połowę schowałem dla ciebie.

— Prawda! krzyknęła Hrabina wyrywając rękę którą okropnie ścisnął, pisałam te listy

kiedym była dzieckiem, kiedym nikomu nie przysięgała na nic kiedy on był wolny.

Ale ty chciałeś mnie przywieść do występku, zastraszyłeś mnie niesławą, oczernieniem, rozwodem, a ja przysięgam przed Bogiem na niebie, ja jestem niewinna! ty, czy przysięgasz na to co mówisz?

— Przysięgam! zawołał Józef w zapale.

Hrabina krzyknęła okropnie, zadrzała, zasłoniła oczy i rzuciła się do drzwi. Słychać było jej krok prędkie na wschodach, potem pojazd się potoczył, a huk jego był jak grzmot piorunu, którego strzała uderzyła w serce Józia.

Żona jego niemogąc słowa wymówić ze złości, siedziała na kanapie, twarz jej była pąsowa, oddech prętki i krótki.

— Idź precz! precz z moich oczu! zawołała po chwili.

Józio stał ponury.

— Idź precz!! powtórzyła mocniej —

On nie odpowiedział.

— Idź precz!!! krzyknęła jeszcze raz.

— Z tego domu? zapytał mąż —

— Z moich, oczu.

— Na zawsze?

— Idź precz!

— Ty mnie obwiniasz, Lukrecjo, żono!

— A jest żeś niewinny? podły człowieku! smiesz że się jeszcze tłómaczyć, gdy przed chwilą, wyznałeś, przysięgałeś żeś mi był niewierny.

— Jestem winien, rzekł Józef ze złością w sercu, lecz cicho i pokornie spuszczać głowę — ale żałuję —

— Ty! tybyś miał żałować, ty? coś mnie oszukiwał swoją miłością tak bezczelnie, ty! czekaj! ją się pomszczę.

I zadzwoniła rzucając dzwonkiem o podłogę. Józio usiadł.

— Niech mu przyniosą te suknie, które chowa na pamiątkę swojej nędzy dawniejszej, w której by zginął gdybym z nim nie podzieliła życia i majątku. Wyjdzie z tąd co miał, nim mnie oszukał i zdradził — Wyjdzie z tąd — i na zawsze!

Maciek osłupiał i w ustach nie znalazł wyrazu, w uszach dzwięczyło mu, w oczach cmiło się, serce nie biło prawie, a ręce konwulsyjnie darty jedna drugą.

— Wyjdź z tąd nagi jak przyszedłeś! zawołała kobieta, żyj jak żyłeś w przód, umrzyj z głodu, zabij się, ja cię nie będę żałować, bo ja ci nigdy nie daruję — Mogłeś mnie nie kochać, nie powinienes był oszukiwać, darowałabym oziębłość, lecz oszukaństwo!

— Mam prawo zostać tu, jako w moim domu, rzekł Maciek stanowczo, cicho kobieta milcz i sama idź precz, jeśli chcesz.

Lukrecja chwyciła dzwonek z ziemi i piejąc się od gniewu, wołała służących.

— Na pierwsze twoje słowo, poczwaro, zawołał Maciek, na pierwszy twój krzyk, zabiję cię lub odeślę do domu warjatów — milcz —

— Ty, dziś jeszcze będziesz na ulicy! nędzarzu! służący zbiegli się na głos dzwonka i stali we drzwiach —

— Wyrzuccie go na ulicę, zawołała kobieta, obedrzyjcie z niego te suknie i precz z nim, precz na ulicę! słyszycie.

Słudzy wahali się.

— Nie ruszać się, zawołał Maciek, dostała warjacji, biegajcie po doktora!

— Kto wasz pan? krzyknęła Lukrecja, albo on, w ten moment, albo wy zaraz precz pójdziecie obedrzeć go i wyrzucić.

Jeden tylko posunął się, jeden którego Maciek tegoż samego ranka, nogą nderzył, z tlejącą, jeszcze w twardém, dzikiém sercu urazą jak dzik z kulą w kłębach, rzucający się na strzelca.

— Proszę pani, rzekł powoli. Ja jestem sługa i muszę słuchać, ale kiedy zrobię co mi każą, nie powinienem za to pokutować. —

To powiedziawszy posunął się do Maćka, który porwawszy krzesło, uderzył nim napaśnika w głowę i położył prawie trupem.

Ta obrona, co by miała przestraszyć, rożjuszyła tylko resztę sług, zachęceni od pani, rzucili się na Maćka i mimo rozpaczającej jego i szalonej obrony, mimo krzyku, który dom cały pod drzwiami sali zgromadził, odarli go z sukni i skrepowali.

W ówczas dawna żona, przystąpiła do bezbroniego, uderzyła go w twarz nogą, plunęła mu w oczy, najgrawając się i kazała go wyrzucić na ulicę —

Zbity i w pół martwy podniósł się po chwili i rzucił okiem — Nad nim, w oknie, siedziała jeszcze mściwa kobieta ze świecą w ręku, z płomieniem w sereu i oczach i wołała —

— Idź psie niewierny, nagi jak przyszedłeś, idź żebrać i zdechnąć z głodu!



XVIII.

O! MOJA MATKO!.

Nagi prawie, wypchnięty z domu, sierota, stał Maciek na ulicy, myśląc czy jutra czekać, czy się zaraz utopić, w téj chwili rozpacz, w której by nie miał czego żałować na świecie.

A sumienie zgastym głosem, odzywało się w jego piersi — Występek ciągnie karę za sobą — !

Nie płakał, tylko stojąc na miejscu jeszcze, myślał o zemście, a życie jego przeszłe, przeszłe bogactwa za któremi nędza była w tyle, nędza z przodu, zdawały mu się snem długim i ciężkim, który w jego piersi zgniecionej, zostawił niepokój i zgryzoty na wieki!

Gdzie pójść? co zrobić z sobą? myśl jego błąkała się, a on jak nędzarz tulił się do bram od zimna wieczornego i wzroku przechodzących.

Spójrzał i pod nogami swými zobaczył małe zawiniątko swoich rzeczy, wziął je pod pachę, i pod kamienicami posunął się — Dokąd? nie wiedział.

W najciemniejszym kącie na wschodach kościelnych pokrył się lichém i wytartém, dawném swoim odzieniem, które niegdyś okrywało serce jego spokojne i nędzę spokojną.

Potém szedł, a po drodze słyszał i widział te same osoby, te same uśmiechy, śpiewy, rozmowy. Te same, a on wracał nędzny poszedłszy bogaczem, wracał sam jeden, biedniejszy od wyrzuconego na ulicę zwierzęcia, bo nad tém się litują, człowieka się boją.

Pośzedł aż pod mieszkanie Adeli.

W jej oknach świeciło się jeszcze, wdrapał się na górę, otworzył drzwi i wszedł.

Adela drzymała na kanapie, Hrabia chodził żywo po pokoju, nie poznał go i postąpił ku niemu wołając.

— Czego się tu ciśniesz?

— To ja! rzekł Maciek.

— Ty? krzyknął Hrabia nie wierząc oczom swoim. Adela obudziła się i znówu piskliwie z przestachu krzyknęła.

— To Józef, rzekł Hrabia do niej, ale cóż mu się stało?

— Co to jest ? patrząc na strój, zawołała Adela.

— Żona wypędziła mnie z domu.

Hrabia i tancerka osłupieli. —

— Za co? zapytała Adela.

— Za to Hrabio, żem był twoim przyjacielem, rzekł Maciek bezczelnie. Twoja żona dowiedziawszy się o tém, żem ci wszystko wyjawiał, oczerniła mnie przed moją żoną, ta zazdrosna, za niewiarę —

— A to pocieszna przygoda! rzekł Hrabia obracając się tyłem do niego i nie słuchając reszty.

Cóż teraz zrobisz z sobą?

— Nie wiem.

I Maciek usiadł na krześle, spuścił oczy w ziemię i myślał. W tém na podłodze ujrzał po błysku rozsypane dukaty, rzucone przed chwilą, po które się wprzód schylić nie chciał, westchnął i pozbiérał je. —

— To cały mój majątek teraz! pomyślał.

Hrabia chodził i milezał,

— Będziem więc mieli dwa rozwody, rzekł po chwili Hrabia, bo zapewne i twoja żona także, starać się oto będzie. Wszak prawda? i cóż poczniesz biédaku?

— Na rozwód ja się nie zgadzam, rzekł Maciek albo — chyba mi, chyba —

— Chyba ci zapłaci, rzekł Hrabia przedrwiwając.

— Chyba mnie zmuszą rzekł Maciek ponuro.

— Więc i moja żona może się na rozwód nie zgodzić?

— Być może.

— Milczeli znowu.

— Jutrzější nasz pojedynek niepotrzebny, odezwał się Hrabia — Teraz, sam miarkujesz, że —

— Że z ubogim nie możesz mieć żadnych stosunków.

— Musisz mieć jaki zapis?

— Żadnego.

— Tém gorzej! przepadłeś panie Józefie.

— Będę się prawował.

— Bez pieniędzy.?

— Hrabia mi pożyczy.

— Za to żeś mi uwiodł żonę —?

— Za to żeś ci nieraz był pomocą, kiedy nikt dopomódz nie chciał. Zresztą porachujęm się.

— Nie przypominam sobie, żebym był co winien prócz wdzięczności za tę przyjaźń, która zdawała się być ku mnie, a była ku mojej żonie.

— Zapominasz Hrabio, że gdyby tak by-

to w istocie nie powiedział bym ci o tém —
byłoby mojem interessem ukrywać przed tobą.

— Wino wiele może, rzekł Hrabia o-
ziębło. —

Józef zamilkł.

— Żegnam pana, rzekł, Hrabia po
chwili —

— Pan Hrabia odchodzi?

— Ja myślę że pan z tąđ odejdzie i nie
wróci więćej, dodał z przyciskiem, ani do
mego domu, ani tutaj. —

— Co się tycze domu, najchętniej, rzekł
Józef, a tutaj, kto inny gospodarz? Panna A-
dela nie pozwoli mi przenoćować w przed-
pokoju? w sieniach?

Adela podniosła, zaczerwieniła, zdawała
się lękać, była niepewną, otwierała usta i
zamykała je.

— Mam odéjść?

Adela zbladła, widać że lękała się może,
jakich nowych wyjawień z ust Józefa —

— To zależy od pana Hrabiego, wyją-
knęła, gdyby to zależało odemnie.

— Rozumiem! rzekł Józef i oddalił się.

Ale z nim na ulicę wyszła złość i zemsta,
pobiegł do domu w którym dawniej mieszkął
za piętnaście złotych miesięcznie w izdebce
czwartego piętra, ale jego dawne mieszkanie

było zajęte. W oknie ujrzał chłopca młodego, który wychylony grał na flotrowersie, patrząc na śpiącego kota, który tuż przy nim siedział.

Był to Maciuś, przyjaciel dawny Maćka, który został przyjacielem jego następcy.

Westchnął na ten widok Maciek, uciekł od domu i z daleka stanął i myślał — Sumienie mówiło mu głośnie. — Występek prowadzi karę za sobą!

Rzucił zawiniątko i pobiegł na Pragę—

Powoli wszedł na środek mostu.

I z tą na miasto, na świat cały, na przeszłość, na przyszłość, rzucił wéjrzenie żalu, złości, gniewu, wéjrzenie które mimo woli zalało się łzą błyszczącą. Potém wyjął z sukni dawno niewidziany, medalionik, zawieszony przez matkę, nieraz może w nędzy zlany jej łzami, obrazek któremu pobożna powierzyła syna w pielgrzymce życia.

Spójrzył i z serca, z kąta nieczyszczonego jeszcze serca, wyrwały się słowa,

— O moja matko!

— Potém okropna rozpacz, wyobrażenia siéroctwa, opuszczenia, nędzy, odjęły mu przytomność.

Bóg go odrzucił, bo był występny, matki nie było na świecie! nikogo! — A w ser-

cu dawniej czystém, został niepokój i czarna sadza występku.

— O moja matko ! powtórzył ze łzami.

I — rzucił się do Wisły, powtarzając raz ostatni — O moja matko ! — I — utonął a stary Wandalin przyjął go w zimne objęcia — z nim całego życia obłąkanie i żal jedno chwilowy.



XIX.

SKUTKI.

Prawie zawsze w mocy człowieka zostaje, popełnić jaki postępek lub nie, ale nie od niego zależy wstrzymać skutki swoich czynności. —

Sąd o sprawach człowieka, musi czekać wieki, bo skutki ich często rościągają się przez wieki, rosnąc jak bryłka sniegu w Alpach, która się zamienia w lawinę zasypującą wsi, doliny, nim doleci do dołu. —

Dla łatwiejszego sądu, wymyślili ludzie intencje, wymawiające od skutków —

Co za odpowiedzialność ściąga na siebie każdy czyniący zle, choćby w dobrym celu, bo któż wyrachuje skutki tajemne jednego słowa, jednego spójrzenia?

Jest to przepaść w której się poruszają niewidzialne sprężyny, nadające ruch całemu światu.

Józef Maciek umarł, lecz jego śmierć nie-

zatrzymała biegu nieszczęść, których było przyczyną jego życie.

Hrabia rozwiódł się z żoną, która w skutek plotek Pani Lukrecii straciwszy dobrą sławę w oczach świata, nie mogła dłużej być spółniczką jego losu i imienia. Jój matka stara, złożywszy resztę łez i żalów przed ołtarzami Boga, prosząc o śmierć, skończyła nareście zatrute życie; ona, przeszła Hrabina, rzuciła się z rozpaczą w życie, którego imienia wprzódylękała się wymówić —

Hrabia nie ożenił się więcej, gra i pjaństwo, dobiły w nim prędko resztę życia, która mu jeszcze pozostała — Umarł, a za pogrzebem, szedł stary lokaj, pudel i Adela.

Trzy stworzenia, które były do niego nałogowie machinalnie przywiązane.

Lukrecja Maćkowa żona, powiła syna, lecz mściwa jak kobieta, nie chciała go widzieć nigdy i sierota wychował się w kuchni, nie wymówiwszy nigdy najdroższego słowa — Matko! nie usłyszawszy nigdy, najslodsze go imienia — Syna! —

Potem po jój śmierci, kiedy bogactwa wysypały mu się w ręce; nie umiał ich nżyć, a całe jego życie, było długim sieroctwem rozumu i cioty, długim nasyceniem bydlęcém. Zostawił dzieci w szpitalu, umarł na ulicy —

O! jeśli ubogi potrzebuje cierpliwości do zniesienia ciężaru ubóstwa, bogaty musi mieć rozum, naukę, wychowanie, serce dobre lub zimne, duszę wielką lub żadną, żeby umiał być bogatym.

Ubogi z bogatego, bogaty z ubogiego, nie będą umieli znieść swojego stanu, chyba z duszą wielką lub żadną z sercem dobrém lub zimném, bez srodka. —

Dalszych skutków życia Maćka siórotki, który był szczęśliwy, gdyby był Maćkiem został na zawsze — wyliczyć nie umiem — Ukazany zapomnieniem po śmierci, kiedy ciało jego wyciągnięto z wody, aby zagrzebać w ziemi, kiedy po długim śledztwie dowiedziano się kto był — nikogo już nie obchodził, żona — kazała go pochować, żaden przyjaciel nie przyszedł go zobaczyć i tylko kot Maciuś towarzyszył dawnego ubóstwa, szukając myszy nad brzegiem Wisły przybiegł, powąchał go, poznał, zamiauczał i uciekł na dawny swój dach na którym żył i umarł —

Ci co chowali Maćka, włożyli go do ziemi nagiego jak przyszedł na nią, żaden z nich nie miał nawet tyle litości żeby nad nieświęconą samobójcy mogiłą, zmówić,

Wieczne odpocznienie.!

XX.

EPILOG.

Zdarzyło mi się raz, kiedym rzucił w świat, powieść równie obojętną i mało ważną, jak ta, że jeden chłopiec młody, bogaty i zarozumiały jak to najczęściej bywa, przerzucił ją przy mnie, z miną pogardliwą.

— Powiedz mi też łaskawco, odczwał się po chwili tonem protektorsko — krytycznym, jaki zwykli przybierać midasy — co u diabła za cel miałeś pisząc tę powieść?

— Cel? nie inny, odpowiedziałem, tylko zabawę dla was i przyjemność z pisania dla siebie.

— Tak! to cel ogólny, ale szczególny?

— Szczególnym moim celem było, nie mieć żadnego celu —

Bogaty młodzik z politowaniem umilkł, wyjrzał przez okno czy jego kocz stoi przed gankiem i pojechał błysnąć pierścionkami i oczyma u jednéj z bliskich sąsiadek, której mę-

za szczerze życzył sobie wykicrować na minotaura.

Słowa jego jednak że utkwiły we mnie i kłuły mnie jak ten oset, w którego szyszki psy się ubierają chodząc po zaroślach.

Myślałem sobie — Już ciż potrzeba żeby był cel jakiś i nauka i postanowiłem sobie, że pierwszą nabazgraną powieść uzbroję w tyle celów, że ich będzie aż nadto.

Zdarzyło się iż ta jest pierwszą i zmuszony jestem dotrzymując sobie słowa, wyciągnąć z niej tyle wniosków moralnych ile jest rozdziałów.

Do czego przystępując proszę o cierpliwość i o przejęcie się tą prawdą, że każda książka prócz elementarza, ma za cel nie uczyć czytać, ale uczyć myśleć.

I. Wniosek z niego (jeśli z bajki mogą być jakie wnioski?) że na balu gospodarz powinien pochować szale, zamknąć na klucz drzwi od ogrodu i spuścić psy ogrodowe z łańcuchów.

II. Że kot może być przyjacielem człowieka *et vice versa*.

III. Że panny mające dwa miljony posagu, mogą być brzydkie.

IV. Że księżyc świeci w nocy, a koty jedzą myszy.

V. Że wesele kotów jest mniej kosztowne od ludzkiego.

VI. Że brzydka żona, zawsze zawczasie przychodzi.

VII. Że herbata z cytryną, bywa lekarstwem nazajutrz po upiciu się.

VIII. Że koty mają tyle rozumu ile ludzie, zkad znowu drugi wniosek, że ludzie powinni by się może starać mieć go więcej —

IX. Że kupczyki czytający La Bruyera, nie powinni wybierać sobie, że znają świat i ludzi, starając się ile możliwości najlepiej, obznać z towarami, które sprzedają.

X. Że Język Arabski jest trudny, że grammatyka Volueja (*Simplification des Langues Orientales I. Partie. Gram. Arabe.*) do niczego nie prowadzi, bo uczy tego, czego nie ma (zobacz przemianę alfabetu) że Grammatyki Menińskiego, Rosenmüllera są daleko lepsze, a na koniec że kobiety powinny się pilnie uczyć języka myśli swoich mężów, niż arabskiego.

XI. Że pończocha Jana Pawła Rychtera w romnasie *Siebenkässe*, śniadanie w *Zamkach na Łodzie* i obiad w tym rozdziale, są *unum et idem*, albo *idem et unum*.

XII. Że lepiej jest przysiadz nie zrobić czego, jak zrobić, bo łatwiej jest zostać w sta-

nie biernym obrony, niżeli w stanie czynnym — napaści.

XIII. Że w Paryżu, nie zrobią z gryki ryżu, przysłowie dawne, do którego by dodać można że gryka nasza tęchnie w drodze do Paryża.

XIV. Że ubogi który się żeni z bogatą, kładnie sobie stryczek na szyję i oddaje go w ręce żony.

XV. Że cnota jest łatwa, kiedy występek nie smaczny.

XVI. Że w domu bankiera skarbiec, u literata biblioteka, u gastronomo kuchnia, u tancerki pokój sypialny, stanowią essencją domu, symbol życia —

XVII. Że nigdy nie wiemy co będzie za chwilę, że występek ciągnie karę za sobą, że niema mściwszego stworzenia nad kobietę brzydką, starą i obrażoną. —

XVIII. Że w chwili śmierci stają przed oczyma, dawno zapomniane i najdroższe chwile życia. Że wyobrażenie matki i cnoty razem przychodzi do serca syna.

XIX. Że z małej chmury bywają wielkie deszcze, co powinno nauczyć mieszkańców miast, aby nigdy w domu parasolów nie zapominali.

XX. Że każda książka powinna mieć przy-

najmniej tyle prawd w sobie, ile rozdziałów (Dla ulżenia zaś autorom pozwala się, żeby po-
łowa tych prawd była nie prawdziwa. —)

Ostatni cel i prawda jaką z téj powieści
wyciągnąć można, jest ta zapewne, że się na
nic nie zdała?

Ja i na to się zgadzam. —



II.

WYCIĘZKA DO ANGLII
HOGARTH.

Hogarth unrivall'd stands, and stall engage
Unrivall'd praise to the most distant age:
Churchill.

W. Hogarth jest najpopularniejszym z malarzy, nie tylko w Anglii, gdzie jego sztychy wszystkim są znajome, lecz u nas nawet na stałym lądzie.

Do pomogły do tego objaśnienia Lichtenberga (1) i Magazyny malownicze, które w braku świeżych rycin i artykułów, kontentują

(1) *G. E. Lichtenbergs ausführliche Erklärung der Hogarthischen Kupferstiche, mit verkleinerten, aber vollständigen Copien, derselben von E. Rispenhausen 1796.*—

się złemi kopjami Hogartha i złém tłómaczeniem wyjątków z Lichtenberga.

Jest to bardzo mało kosztowne zapełnienie miejsca, bo rzadko nawet kompilatorowie przyznają się do kradzieży i o Lichtenbergu, którym żyją zupełnie zapominają.

Praca jego jednakże zasługuje na pochwały i pod względem artystyczném i przypomnieniem poszukiwań jakiej wymagała. — Cudzoziemcowi bowiem niepodobna było nie radzić się tych, którzy w kraju pisali o Hogarcie — Siedmiu następnych objaśniaczy wymienia Lichtenberg —

1. Lettres de Mrxxx (Roucquet) á un de ses amis (marcehal Beleisle) pour lui expliquer les estampes de M. Hogarth. Paris 1746. 8.

2. Hogarth moralised etc. by the Revd John Trushar, London 1768. 8.

3. Essay on prints by the Revd M. Gilpin—

4. Anecdotes of painting in England etc. Collected by M. George Vertue and now digested etc. by M. Horace Walpole (Lord Orford) Strawberry — Hill. 1771 4. 4 Vol. (To dzieło było długo zastępcą historii Malarstwa w Anglii, a do tąd jest materiałem do niej, można się o tém przekonać z tąd, że nie ma w *Revue* angielskiej żadnej artykułu o malarstwie, w którym by cytowane nie było.)

5. Biographical Anecdotes of W. Hogarth (Third Edition London. 1785. gr. 8. (Nichols).

6 An Explanation of several of M Hogarth prints. London 1785 8.

7. Hogarth illustrated by John Ireland 11 Voll. gr. 8. Lond. 1791.

Z tém wszystkiém zdaje się, że wszyscy objaśniacze Hogartha, bardzo pracowici co do wytłómaczenia szczegółów rycin, nie powinni byli robić z siebie, komentatorów, lecz z Hogartha rysunków, całe powieści tworzyć byli obowiązani, i to było by najzgodniejszém z duchem malarza, którego obrazy prócz nie których osobnych (kolumb. Muzyk — Bitwa kogutów i t. d.) składają pojedyncze rozdziały jednéj całości mającéj ciąg i interest obyczajowój powieści, pełnéj *humoru* i trafnych postrzeżeń. —

Takiém jest Małżeństwo Modne (*Le Mariage a la Mode*) Przemysł i próżniactwo (*Industry and Idleness*) Życie Dziewczyny i Życie rozpustnika (*The Rake's progress*) składające się z ośmiu obrazów. (1)

W pierwszym Tomasz Rakewell dziedzic-

(1) Tę są. 1. Dziedzictwo. 2. Metrowie. 3. Zam-tuz. 4. Areszt na ulicy. 5. Ślub. 6. Szulernia. 7. Dom poprawy. 8. Dom Warjatów.

two po starym, skąpym ojcu odbiera, zaręczony jest z Sahrą Young, młodą, ładną, dziewczyną, w drugim widzimy go otoczonym Metrami, w trzecim zaczyna się już życie rozpustne, którego jedna scena pełna ognia jest odmalowana. W czwartym aresztowanego za długi na ulicy Sahra Young własnymi wykupuje, pieniędzmi.

Piąty

Przed posępnym, małym, opuszczonym kościołkiem *Mary le Bone*, w bliskości Londynu, nad zmrokiem zatrzymała się landara ciągniona czwórka koni w złocistych szorach, z dwoma barczystymi lokajami stojącemi z tyłu. Osoby będące w powozie nie wysiadając z niego posłały sługę po księdza, ukrywając się starannie firankami.

Kościółek był już otwarty, u drzwi jego na płaskich kamieniach, siedziały dwie kobiety. — Obie smutne poglądały na powóz. Jedna z nich młodsza z dzieckiem na ręku, z łagodnym wyrazem boleści na twarzy, milcząca, patrzyła z litością macierzyńską, na uspio-
ne dziecko swoje.

(W tém spójrzaniu, więcej niż litość malowała się, i przez łzę widać w niém było postanowienie zupełnego oddania się, poświę-

ceńia, dla biednej dzieciny. — Była to Sahra Young, kochanka Rakwella (Rekuella), który ją uwiódł i porzucił. — Starsza kobieta siedząca przy niej, smutna była także, ale wyraz jej smutku różnił się znacznie od eichego cierpienia Sahry. Na rysach jej twarzy, wybitnych i twardych mieszał się gniew, miłość macierzyńska, uczucie obrazy, chęć zemsty i niecierpliwość. —

Matka Sahry sparta na rękę, z gniewem patrzyła na pojazd. Sahra zdawała się okiem przebijając zasłony i prosić o litość nie nad sobą, nad dziećciem. —

Wśród tej milczącej a pełnej życia sceny, nadbiega sługa, otwierają się drzwiczki pojazdu, ksiądz Pastor wchodzi zakrystją do kościoła i trzy osoby przybyłe —

Wnętrze kościołka *Mare le Bone*, jest równie nędzne, jak jego powierzchowność i nad wejściem chór się wznosi, dalej łoża dla kollatorów, para okien nie jednostajnych oświeca kościołek, słup wśrodku trzyma sufit mogący się obalić, na ścianach snują się pajęczyny, skrywające pozostałe po Jezuitach znaki. —

Za kratkę przed ołtarz wychodzą ksiądz Pastor i Kantor — Para nowożeńców zbliża się — Pan młody Tomasz Rakewell, jest już tu podżyłym człowiekiem, ubrany galowo,

atletycznój i silnój budowy, bierze rękę narzeczonój z uśmiechem nieznacznym dumy i ukontentowania, widoczna jest myśl Rake-wella który mówić się zdaje — Uszczęśliwiam niegodną! — W tém szept od drzwi daje się słyszeć i niespokojność dręczyć go zaczyna, lęka się aby nieszczęśliwa Sahra Young, nie przyszła przerwać obrzędu.

Panna młoda już wcale niemłoda, twarz ma przebiegłą, uradowaną i głupią, oko jój zwrócone na Pastora jest przenikliwie radośne. Okrywa ją suknia bogata i szeroka galowa, ogon od niżej spada na ziemię, w ręku trzyma wachlarzyk i chustkę, a za pasem włożyła rękawiczkę zdjętą z ręki, którą panna młodemu podaje. —

Pauper podsuwa państwu młodemu bogate poduszki pod nogi —

Stary, garbaty, w peruce z okularami na nosie Pastor, trzyma mszał w ręku i błogosławić zaczyna. Twarz jego jest oryginalna i odznaczająca się, ale nie uderza taką naturalnością jak kantora, którego chude lice, nos wysmukły, policzki zapadłe, oczy spuszczone, usta do śpiewu otwarte, są prze-wybornie trafne i stanowią kontrast z otyłym i ciężkim plebanem.

Za panną młodą, klęczy poprawując jój

suknię młodą i ładną służącą. Lekki satyryczny uśmiech czepia się jej ustek, to znówu kontrast między starą zalotnicą i młodem dziewczęciem. Hogarth lubi podobne zbliżenia i cały jest w sprzecznościach, z których każda posługuje do wyrazniejszego odbicia przeciw położonej.

Ślub ciągnie się powoli.

Tym czasem inna scena, zaczyna się we drzwiach kościoła. Starój klucznicy nie kazo nikogo puszczać do kościoła. Dwie kobiety, Sahra i jej matka, chcą się wcisnąć za parą nowożeńców, widzą one ślub zaczynający się przed ołtarzem, pośpieszają, lecz klucznica, podnosi groźna pęk kluczy i broni im wejścia. Napróżno matka pełna niecierpliwości i gniewu rzuca się odważnie naprzód, stara jędza z pękiem kluczy gotowa krwią swoją dowieść posłuszeństwo rozkazom księdza Pastora.

Sahra stoi z tyłu, nie ciśnie się, nie chce gwałtem nabijać się zwodzicielowi, patrzy tylko na dziecię i płacze. — Zawraca się i odchodzi.

To odejście nieszczęśliwój, maluje jej łagodny pełen rezygnacji charakter, religijne poddanie się nieszczęściu. — Komentatorowie Hogartha, Gilpin i Lichtenberg utrzymują że

Sahra od tej chwili powinna go była rzucić, jak inną pojął żonę, jest to bardzo naturalnem ze strony zimnych formalistów, równie naturalnem jak przywiązanie Sahry niezłomne, która go nie opuszcza do śmierci. —

Bitwa tém czasem coraz zjadlejszą się staje, matka Sahry porywa za twarz klucznice — Oczy dwóch zapasniczek pałają gniewem, z ust lecą, sypią się przekleństwa, na koniec Rachel Young, wypycha klucznicę za drzwi i rygluje ją zewnątrz — Potém bieży do ołtarza wołając. —

— Jest przeszkoda! jest przeszkoda. —

Ale już kantor ostatnie Amen odśpiewał głosem przeciągłym i klęcząca para powstała przysięgłszy sobie wierność na wieki. —

Nikt nie słucha starój, kilka gwineów pada na tacę, otwierają się drzwi kościoła, państwo, młodzi wychodzą, siadają do pojazdu.

Rachel zastępuje im drogę. —

— Lordzie Thom, woła, zatrzymaj się, stój — Ciagnie go za suknię — on tylko przyspiesza kroku, zwodzicielu beczelny, stój w imie Boga!

Stara Lady zatrzymuje się, spogląda na Rachelę, kaszla i chropawym żabim głosem odzywa się. —

— Czego chcesz stara kwoko?

— Stara kwoko?? powtarza Rachel ścisnąc pięści. Wywiędła Babo! na co mi dasz swoje imie, myślisz że cię twoja suknia odmłodzi?

Lady Rakewell porywają spazmy.—

— Anielo, woła na służącą, podaj mi rękę padam, mdleję, drogi mężu, każ ją zaprowadzić — do Bcdłan!

Thom odurzony wychodzi z osłupienia na ten okropny wyraz — drogi mężu, wyrzeczony przez starą Lady Rakewell. Spogląda na żonę, odwraca się i widzi Rachel, matkę Sachry, zakrywa twarz rękoma, Rachel targa go za suknię —

— Lordzie Rakewell zdradziłeś, uwiodłeś, zgubiłeś moją córkę, przeklinam ciebie, jej nieszczęście niech spadnie na twoją duszę.

— Co ona mówi? odzywa się Lady otwierając oczy —

Thom milczy —

— Lordzie, powtarza służąca — Milady pyta się czego chce ta kobieta — ?

— Co? zawołał Rakewell — To nic, to stara warjotka! dodał z przymuszonym uśmiechem, w którym wewnątrz gryzące go troski jeszcze się jaśniej odbiły — Nic! to nic

chodźmy Milady. I podał żonie rękę chodźmy, jedźmy.

Tuman kurzu wzniósł się na drodze, Sahra z dzieckiem i matką, powoli poszła do Londynu, odepełniona od zwodziciela, nie przestając jednakże z daleka czuwać nad nim, jak anioł stróż. —

W ostatnim obrazie życia rozpustnika, Hogarth nie zapomniał Sahry. —

III.

ŻYCIE SIÉROT.

— — — Nie wiem czy miałam ojca i matkę — znaleziono mnie małą na pieluchach i słomie u bramy jednego domu. Z początku chcieli mnie do sióstr Miłosierdzia odesłać, potem zlitowała się nademną szynkarka, która trzymała szyneczek na dole, wzięła mnie i wykarmiła, ona sama nie miała dzieci i kochała mnie biedna.

Ja to tylko jak przez mgłę pamiętam, bo w kilka lat, kiedym jeszcze była bardzo małeńka, biedna kobieta umarła i zostawiła mnie na Bożej opiece, bo Bóg podobno ojciec siérot.

Siostrzeniec jej wypchnął mnie z domu i karmić nie myślał, ale gdym siadłszy płakała,

bawiąc się piaskiem na ulicy, jakaś pani przechodząca, rozpytałwszy się, kazała mnie zanieść do siebie.

Dobra to była pani, ale i ona już w niebie, i ona prędko umarła, a ja znowu zostałam sama jedna. Ale już byłam starsza trochę, wzięła mnie jedna przekupka i siedziałam z jej kramikiem w Ostrej Bramie, długo — trzy lata. —

O! roszkowne to było życie, bardzo roszkowne, jak go wspomnę, łzy mi się w sercu kręcą — Rano bywało, szłam z moim stołkiem i towarem, jeszcze spało miasto, przechodziłam jak na pierwszą mszę dzwonili u Ostrej Bramy, miałam swoje miejsce, spokojne, siadałam. U mnie były do przedania obrazki piękne N. Panny, książeczki małe, szkaplerze, paciórki, wstążki, szpilki — tyle ślicznych rzeczy! Dzień wschodził, wyjaśniał się powoli, ja siedziałam z pończochą na świeżym powietrzu, między ludźmi pod skrzydłami Matki Boskiej. — Księża śpiewali, organy grały, słuchałam wszystkich mszy, modliłam się! byłam bardzo szczęśliwa z moimi obrazkami i szkaplerzami! Tyle ludzi, chodziło koło mnie, każdy taki był dobry, wszyscy się modlili — a kto się modli, ten złym być nie może.

— Często bywa najgorszym.

— O! nie wierzę! Muie się wszyscy bardzo dobrémi wydali, nie jeden kupiwszy co, dał grosz dla biédnej dziewczynki. W ówczas kupowałam sobie mléka, obwarzanek i błogosławiłam go bardzo długo!

Wieczorem, zmrokiem, kiedy już tylko żebracy modlą się u Ostrej Bramy, ja szłam do domu prażyć do nocy. W nocy spałam spokojnie i nieraz śniła mi się Najświętsza Panna z Paulem Jezu-em i dawała grosz na mleko i drugi na obwarzanek. — Budziłam się i dziękowałam choć grosza nie było. — Często i we śnie radować się nie można, kiedy serce pęka od prawdziwego żalu. — Szczęśliwemu i we śnie szczęście, biédnemu łązy i przez sen.

Mój Boże! jak ja pamiętam, te trzy wiosny u Ostrej Bramy i te trzy lata! Zima tylko dokuczała, bo nie było się czém okryć i trzeba było chuchać w ręce i bić nogami, żeby się rozgrzać. Inne przekupki miały garnki z węglami i śmiały się ze mnie, ja marzłam, ale byłam szczęśliwa dla tego, bo czekałam wiosny i lata. —

Raz — na końcu trzech lat, miałam już podobno trzynaście, wieczorem chora wróciłam do domu, jesień była zimna i deszcz

mnie przemoczył do nitki, gorzej jeszcze że moje szkaplerze i obrazki, zupełnie były mokre, bom nie miała ich czém okryć niosiąc do domu.

Przekupka o mało mnie nie wybiła za to, ja gorzko płakałam, a w nocy musiałam siedzieć i suszyć przed kominem mój towar, ale że ogień był mały, do ranku przyszło i już dzwonili na czwartą, kiedym skończyła.

Ledwie się spać położyła i zasnęła płacząc, przebudziła mnie gospodyni z łajaniem, przypomniała mi że to niedziela i kazała iść zaraz do Ostrej Bramy — a mnie tak się spać chciało! Całą noc nie spałam, byłam chora, głowa mi ciążyła, nogi słabły, oczy mrużyły się — Ale kto służy musi słuchać, poszłam. —

Na ulicy nikogo nie było, w Ostrej Bramie nikogo, zmrok przeddniowy i sen wszędzie — mnie jednę spać nie było wolno. — Ja siadłam płacząc znowu i powoli zasnęłam znużona.

Nie wiem jak długo spałam na moje nieszczęście, ale przetarłszy oczy i spojrzawszy obudzona, małam nie umarła. — Koło mnie, nie było szkaplerzy moich, obrazków, paciórerek, wstążek — wszystko znikło.

O mój Boże, nie mam języka na opisanie tej boleści i przestachu — wołałabym była

umrzeć w tém śnie nieszczęśliwym — Rzucałam się na ziemię, śmieli się patrząc wszyscy, płakałam i jęczałam, odpychali z drogi — poszłam do obrazu N. Panny i prosiłam jęj gorąco, o pomoc, o ratunek. Ona cudowna, mogła cud zrobić, ale ja widać nie byłam cudu warta, bo mnie nie wysłuchiła. —

Nie mogłam się już pokazać przekupce i chciałam uciekać z początku, ale pomyślałam zaraz, że ona mnie o kradzież posądzi, że i ona biedna ma dwoje dzieci — Poszłam, wybiła mnie, odarła z odzienia i wypchnęła z domu.

Stałam w kącie na ulicy, aż jakiś pan z panią zaczęli mnie pytać i kazali iść za sobą. —

Dziękowałam N. Pannie. To ona ich sprowadziła. I to był cud dla sieroty!

Pani była trochę zła, a pan był dobry, on był stary i siwy, ona młoda jeszcze i piękna — nie byli szczęśliwi. On nieraz biédak chciał zasnąć, a ona mu śpiewała nad głową, on stękał chory, ona szła na Teatr. Ja doglądałam starego i on mnie lubił, ale pani za to — Niech jęj Bóg daruje, męczyła mnie często.

Jakby już sierota i wstydu mieć nie mogła, łajała mnie i biła przy ludziach, ponie-

wierała. Za każde dobre słowo starego, wiele musiałam znieść od pani. Ale byłam młoda jeszcze, zapominałam prędko że było źle, a długo pamiętałam kiedy było dobrze.

W rok pani umarła, płakałam po niej, gotowam była znosić od niej wszystko byle żyła, bo stary żałował jej bardzo. Został mu tylko po niej, syn starszy trochę odemnie. Razem z nim byliśmy trzy lata i przyzwyczaił się do mnie. — Ale Adaś tak był swawolny, że najczęściej ojca guiewał; brałam gniew na siebie kiedy było można, czasem dziękowałam mi za to, częściej nie uważał. Ojciec tylko patrzył na wszystko.

Ostatniego roku Adaś zepsuł się w mieście, w nocy nie wiem dokąd wymykał się z domu, brał pokryjomu pieniądze u ojca, powracał często pokaleczony, obdarty, pijany. Ojciec go bił, nic nie pomogło, płakał i prosił, ale i to nie skutkowało.

Jednego razu w nocy — późno już było, ja spałam mocno. Adasia nie było w domu, o północy ktoś do bramy zastukał i ja się obudziłam, poszłam otworzyć — Był to Adaś, wszedł śpiwając i pobiegł za mną. —

Zamknęłam się w swojej izdebce i zasnęłam znowu, ale wkrótce posłyszałam czyiś chód koło łóżka i porwałam się z krzykiem —

księżyc świecił — poznałam przy jego świetle Adasia. Pijany był i strasznie oczy przewracał, ledwie krzyknęła, ręką mi usta zasłonił i całować zaczął. —

Nie wiem czego, przeleżałam się niezmieranie i drżałam nie mogąc krzyczeć — on klęczał przedemną i obejmował mnie rękami.

Myślałam że będzie o co prosił, ale on milczał, chciałam zapytać i nie wiem czemu nie śmiałam.

Ledwie tak przeszła minutka drzwi skrzypnęły i wszedł ojciec ze świecą w ręku i z kijem, zobaczył go i nic na niego, ale na mnie się porwał, chwycił mnie silnie za rękę i rzucił za drzwi, popchnął ze schodów i kijem uderzył.

Zostałam na dziedzińcu zbita i płacząca, a na górze słyszałam krzyk syna i głos ojca przez całą noc. Rano — ucichło, poszłam się ubrać na górę, bo mnie wypędził boso i w koszuli. Ledwie się ubrała ojciec wszedł znowu. Łajał okropnie, kazał wyjść i nie wracać, prosiłam i padłam do nóg, gniewał się nie wiem za co, gorzej jeszcze jak w nocy.

Poszłam płacząc nad Wilją, sama nie wiedząc gdzie idę, chciałam się utopić, ale mnie jakiś młody człowiek z brzegu jeszcze wyciągnął. —

Znowu głodna, bez domu i opiekuna tuliłam się po mieście, mój wybawca obiecał mi wprowadzić wzięść sierotę do siebie, ale nie wiedziałam gdzie mieszka, i na ulicy nigdzie spotkać go nie mogłam. — Poszłam tropić się znowu, ale nim miałam umrzeć, chciałam się jeszcze pożegnać z matką moją Najświętszą u Ostrzej Bramy. —

Tam modliłam się długo i zasnułam na bruku.

Rano głód mnio ścisnął, prosiłam Boga, o kawałek chleba, prosiłam N. Panny, i przedałam chustkę i fartuszek żydowi, żeby żyć jeszcze i modlić się. Wstyd mi było żebrać, nikt nie uważał na mnie, a kogo o służbę prosiłam, śmiał się.

Wieczory przepędzałam przed obrazem Ostro Bramskim, patrząc na lampę która gorze noc całą i prosząc Matki Boskiej o pomoc. W nocy spałam w galerij lub bramie, w dzień stałam i modliłam się. — Biedny cóżby robił, gdyby się nie modlił, któżby mu pozwolił mówić tak długo do siebie, jak Bóg i Najświętsza Panna??

Tylko ludzi bałam się bardzo, ludzie śmiali się ze mnie, kiedy drżała tuląc się od zimna w zimny wieczór, przemoczona dęszczem i rosą. — Czasem łapali mnie na ulicy

a ja krzyczałam, eiagnęli mnie za sobą, nie wiem dokąd, a ja zaczęłam prosić ich o służbę, o chleb, odchodzili śmiejąc się.

Nie wiem jak przeżyłam dwa miesiące, często malcunki chleba ogryzek i woda od S. Jana, żywiła mnie dni kilka, przywykłam do głodu i nie czułam go, mając choć okruszynę w ustach. Co dzień prosiłam Matki Boskiej o cud, czekałam cudu, cudu nie było, a nę-dza coraz straszniejsza. —

Na końcu i płakać już zapomniałam, bo nie mogłam płakać ciągle, a ciągle było czego płakać. — Dziś rano klęczałam u Ostrej Bramy, zimne i mokre kamienie miałem pod nogami, głód dwudniowy w sobie — a nad sobą — Matkę Boską. —

Chłopczyk jakiś pociągnął mnie za rękę i poprowadził, szłam za nim nie wiedząc co robiłam, on mi coś gadał po drodze, ale go nie rozumiałam. I przyprowadził mnie — do mego wybawiciela. — —

Edward patrzył na nią w milezeniu, jak schylona, zaczerwieniona od mówienia, zadyszana klęczała i ruszała ustami i podnosiła oczy w niebo. —

Patrzył i myślał patrząc, co zyska ta dusza i serce na wychowaniu. Wychowanie, myślał, zepsuje ją, przeciwności i łzy koły-

sały jój młodość i wychowały ją najlepiej, otoezona tysiącem szkarad niższej klasy jak koncha perłowa z morza, wydobyła się z nich czysta, łzawa, cnotliwa, nie wiedząc co jest cnota. — Wychowanie, myślał Edward, będzie na nią tak skutkować jak dłóto snyce-rza na listku trawy, rozerwie listek zeszpeci ją i zniszczy. —

Potém w rok — Mieszkanie ubogiej sieroty i jój życie, zmieniło się bardzo. — Jój pokój był ozdobny, zarzucony wytwornemi sprzętami zbytku, zawieszony zwierciadłami, okna jego zapuszczone były firankami, na których białe z różowym atłas się krzyżował, na kominku (był to wieczór) palił się ogień małeńki, a lampa astralna na stoliku. Koło kanapy był dywan piękny zielony, rzucany w bukiety i arabeski, na stoliku leżały książki i rękawiczki świeżo jeszcze zdjęte. —

Cicho było w pokoju, a ona sama siedziała w kątku, u komina, ubrana w biały szlafrok.

Ach, jakże ją ten rok zmienił od stóp do głowy. Włosy jój były upuklowane, twarz smętna, oczy przygasłe, usta ściśnione i sine, była piękna, jak męczenniczka, tylko zapału męczenniczego nie znalazłbyś na jój twarzy, ale jakąś niedbałość, opuszczenie, zdanie się

na cierpienia, obojętność i rozpacz powolną, przejadającą serce po cichu.

Patrzyła na ogień, który pryskał, płonął, gasł i płonął znowu, falkonę białego szlafrocza miała w ręku i milczała; a jeśli wzdychała to tak cicho tak nieznacznie jak anioł w niebie, jeśli i tam wzdychać trzeba.

Marysia to była, ale już nie ta która się modliła u Ostrej Bramy, która szła topić się do Wilij, która znalazła wybawiciela po dwumiesięcznej męczarni głodu i nędzy — była to Marysia uperfumowana, piękna, blada, kaszląca czasem po cichu, mrużąca oczy od blasku, rumieniąca się co słowo, lękliwa, delikatna — inna zupełnie.

Bo człowiek co roku jest inny, co dzień, co godzina. — Często witając dawnego przyjaciela, dawną kochankę, witamy w nich tylko pamiątkę dawnych przyjaciół, dawną kochankę. — Czas tak zmienia i oczy które patrzą i to co się widzi! na świecie ścierają się ludzie jak kamienie młyńskie, i mieszają, przeradzają się jak motyle, rosną i błyszcżą jak bańki na wodzie, a mało ludzi jak głąz nad drogą obrasta mchem siedząc wieki długie, na swojej miedzy bez odmiany i bez życia.

Tamta Marysia, była biedna dziewczyna,

ta była niby Panna Marjanna, niby Pani, miała więcej powagi, pewności i zaufania w sobie, więcej myśli. Tamta jak zegarek zatrzymany żyła nie żyjąc, na tej znać było cierpienie, a cierpienie znaczy życie. Roskosz zabija, lub usypia, rokosz nie ma charakteru, nie ma życia, przeradza się w zicwanie lub śmierć, cierpienie w śmierci lub bołaterstwo.

Marysia siedziała u ognia, wyciągając nożki ku niemu, czasem, rzadko, spoglądając w prawo, na drzwi otwarte.

Kto tam był? — tylko dziecię spiące w kolebce.

Marysia była matką, serce jej już było w kolebce z dziecięciem, z jej życiem, jej światem całym. Nic nie widziała, nie słyszała, nie dotykała się dziecięcia, nie żyła w ówczas, lub żyła cierpiąc okropnie.

Dziecię spało.

W przedpokoju dzwonek zadzwonił, słychać było potem miękkie upadnięcie jakby płaszcza na podłogę, potem ocieranie nóg, potem Edward wszedł do pokoju powoli, minę miał skrzywioną, na czole marszczki, wargi wydęte, oczy zmrużone.

Wszedł powoli, ona spójrzała tylko i znowu patrzyła w komin.

Pociągnął nosem.

— Co tu słyszeć?? zawołał — Osobliwość jak te dzieci słyszeć wszędzie — czemu nie każeś zakadzić!

— Ja nie nie czuję.

— Szczęśliwa prawdziwie! tu nosa mieć nie trzeba, żeby nie czuć tego kwasu piclnichowego. Jak ty tu możesz siedzieć? Fe! ja tego wytrzymać nie mogę.

— Każę zakadzić — odpowiedziała Marysia i wstała.

— Zamknij lepiej drzwi, rzekł Edward, bo inaczej to nie nie pomoże.

— A jak się dziecko obudzi?

— Wszak jest mamka.

— Pewno drzymie i nie posłyszysz.

To mówiąc wzięła Marysia kartkę *Papier du Sraill*, trzymała nad lampą i kadziła nią starannie.

— To nie nie pomoże! zawołał Edward siadając, ile razy tu wchodzę z podwórza zawsze jeśli nie krzyczy, to pachnie mi dziecko —! To niecznośnie!

I ziewnął szeroko.

— Daj pokój kadzeniu!

Marysia przestała, poszła i siadła przy kominie.

— Fe! ja się ztąd wynieść muszę, ode-

— zwał się Edward po chwili — chodź, pójdziem do mnie. —

— Ale — ja od dziecka odejść nie mogę.

— Zawsze te dziecko! zawsze, wszędzie, muszę się z nim spotkać, czy już dla mnie nie masz i chwili czasu?

— Chore teraz. —

— Jaka tam choroba, że krzyczało w dzień! rospieszczone szkaradnie. Nie trzeba na te dzieciństwa uważać. Można być przywiązaną do dziecka, ale we wszystkim jest miara.

— Ach! (i ziewnął) nudzisz mnie strasznie takim wypieszczaniem! Czy nie pójdziesz?

— Nie mogę.

— Więc i ja tu muszę siedzieć cały wieczór i wachać zapachy i słuchać krzyków, bo się pewno zaraz obudzi, na moje nieszczęśliwe uszy. Tylem cię razy prosił, żebyś go przeniosła gdzie dalej, masz tyle pokojów.

— Ale tam — ja bym go niewidziała, nie posłyszała?

— Na cóż koniecznie samą ciągle przy nim słęczyć, jest mamka, jest niania.

— Ale nie matka, odpowiedziała Marysia spokojnie.

— Tyleż się dzieci hoduje za oczami, rzekł Edward, a dla tego żyją i zdrowe. Tém ciągłym troskaniem się, niespokojnością, niszczysz się, chorujesz. — Kaszlesz, mizerniejesz nawet, powiem ci prawdę, żeś zaniedbała swój ubiór, i brzydniesz co dzień, a ja chciałbym cię zawsze widzieć piękną moja Maryniu. —

Marynia już płakała po cichu.

— Rok to długo, odezwiała się, nie mogę być tak piękną jak wyprzódę. —

— I zaraz płaczesz! Nieuwierzysz jak to oczy psuje i twarz odmienia, chyba — Fe! ale ja tu wytrzymać nie mogę, zakadź jeszcze! ach! co za powietrze, trzeba okno otworzyć.

— Nie otwieraj! na miłość Boga! Feliś ma gorączkę! zawieje!

— Znowu o dziecku, a to skaranie! więc drzwi te zamknąć.

— Dobrze, ale ja tam pójdę! Czasem się obudzi! ty nie masz litości ani serca, ty go nie kochasz. —

A pewnie, tak jak ty kochać go nie mogę, żebym dla niego, o całym świecie zapomniał, ale go kocham jednak. I lepicjby ci było, tak go kochać jak ja.

— Nie mogę! odpowiedziała Marysia.

— Więc i mnie, od niego mniej kochasz?

— Mniej!

— Dziękuję! a ja ciebie więcej od niego, choć masz oczy zapłakane i twarz coraz bladszą, ściągającą, moja Marysiu. Mniej! tak mniej! uważam to powoli, widziałem to i sam! kochasz mnie tylko tych dni, których mu cacki przynoszę, lub na rękę się z nim wodzę, jak ty. Mniej! doskonale! mniej! mniej! powtarzał Edward.

— Po dziecku, Bóg tylko u matki, odpowiedziała kobieta.

— A ojciec dziecku?

— Mniej jak dziccię, na co mam kłamać!

— Co za egoizm, szepnął Edward sam w sobie, one kochają siebie w dziecku! Miłość macierzyńska, głupstwo! siebie kochają, siebie! A, zawołał głośno, chciałbym jednak wymóżyć dziś na tobie ażebyś przecie Felisia, odepchnęła trochę od pokojów, wszak tu od krzyku i zapowietrzenia wytrzymać nie można.

— Chyba się sama z nim odsunę!

— A zaraz ostateczność! chyba sama! na co sama? o tobie nie mówię! Właśnie tego nie chcę, właśnie tego krzykuna chcę ztąd odsunąć, żebym mógł z tobą być częściej i dłużej, bo w jego sąsiedztwie, to trzeba być aniołem żeby wytrzymać. —

— Trzeba być tylko matką, odpowiedziała Marysia spokojnie.

— Tak! tak! matką! prawda! ale zrobisz mi tę przyjemność —?

— Że się sama z nim odsunę.

— Sama! na cóż się sprzeciwiać, chcę żeby się on wyniosł tylko, cóż u licha! chcesz mnie rozgniewać. —

— Myślałam, że dogodzę. —

— No! lubciu! Feliś będzie w czwartym pokoju.

— Nie, albo ja z nim, odpowiedziała stanowczo matka.

— Ale ja o to proszę, bardzo proszę. —

— I ja proszę, albo tu, albo tam razem, zawołała Marysia.

— Ale ja tego chcę, zawołał Edward, podnosząc głos i wstając z kanapy.

— Ja nie mając prawa chcieć, proszę tylko. —

— Nudzisz mnie! to dzieciństwo! ja każę nareście i tak będzie.

— Ja proszę.

— Ach! nie bądź że dzieckiem. Proszę i proszę, prosz o co chcesz, ale nie na przekór, nie sprzeciwiaj mi się, niech raz w życiu będę panem w domu ja, nie ten mały, który mi ciebie odebrał.

— O! nigdy nikt, zawołała dziewczyna idąc ku niemu, ty i on to mój świat cały — chcesz że —

— Chcę tylko bez tego rozczerwienia, a rozumnie moja Marysiu, rzekł odpychając jej ręce zawieszające mu się na szyi, bez łzów które oczy psują i na nic się nie zdały! — Wierż mi że i ja jego kocham i wiem co mu trzeba. Cóż mu się tam stanic? będziesz u niego cztery, pięć, dziesięć, dwadzieścia razy na dzień, zresztą trzymasz tyle kobiet, co mi dom cały zapaskudziły, pilnują go jakby się urodził na papieża lub astronoma. Na co tam jeszcze wysiadywać dnie i noce, nie jeść, nie spać. Czemu być tak nie może, jak było dawniej?

— O! i mnie żal tego, zawołała Marysia płacząc, ale widzę że tak być nie może, tyś się odmienił.

— Ja! śmieszna rzecz! ale to ty nie ja!

— Mój drogi!

— Moja duszo, nie nudź że mnie, na honor zniecierpliwie się, fe! ciągły swar, gniów, wołałbym, Boże odpuść, wołałbym sto razy, żeby nie żyło to dziecko. —

— Jezu Panie! co ty mówisz? krzyknęła kobieta zakrywając twarz rękoma.

— Cóż strasznego — rzekł zimno Edward, kiedy mi przeszkadza —!

— I ty mówisz że go kochasz. —

— Kocham, ale nie więcej od ciebie. —

— A siebie nadewszystko?

— Marysiu! dajże pokój, pogniéwamy się.

Ona zamilkła, Edward chodził wielkimi krokami po pokoju. Głos krzykliwy dziecięcia odezwał się i Marysia rzuciła się w prawo, we drzwi. Edward silnie przytrzymał ją za rękę.

— Nie pójdziesz, rzekł, nie mu się nie stanie. —

— Edwardzie! zawołała matka wyrrywając się — on krzyczy! na miłość Boga! nie wytrzymam?

— Mić rozum. —

— Edwardzie! ach, słuchaj! pozwól, mój drogi! mój Edwardzie — —

I słuchała z zaiskrzonymi oczyma, a dziecię krzyczało piskliwie i słyszeć było, jak go ktoś kołysał mocno. —

— Jeśli mnie kochasz! proszę i każę — nie pójdziesz, powtórzył Edward, słyszysz że go kołyszą, cóż mu będzie? Uspokój się, na co to udawanie.

— Udawanie! zawołała obrażona kobiéta! o tyś pewno nie znał matki!

Ta uwaga uderzyła Edwarda, puścił jej rękę i zamyślił się. — Marysia jednym skokiem była przy kolebce, on ziewając siadł za stół i zaczął świstać, skrobiąc воск rozlany na stole, zapinając i odpinając guziki u kamizelki, na palcu okręcając pierścionek i przerzucając włosy niedbale.

Zdaje mi się, myślał Edward, że się z nią nudzę. Rok przebyć z dziewczyną złapaną na ulicy, to za wiele. Ja mógłbym mieć jakąbym chciał, jestem bogaty. Ale uwolnić się od niej, to trudno, to prawie niepodobna.

Ale żyć z nią, pomyślał zaraz znowu, tortury! Kobięta która nie nie czyta prócz litanij i o niczem nie mówi prócz o dziecku— Gdyby miała naukę, wychowanie, dowcip— ha,— jeszcze, ale miłość tylko i bladą twarz, która co rano bardziej brzydnie. To trudno, to trudno! powtarzał sobie Edward, to prawie niepodobna — Ołożem sobie kupić biędę dobrowolnie, pomyślał uderzając się w czoło—

A w tém i Marysia weszła niosiąc dziecię na ręku. Dziecię było małe, różowe, tłusciuchne, z niebieskieni oczyma, z złotym włosiem na główce, rączki miało maleńkie, małe usteczka i całe jego ciało było małe, drobne, kształtne i okrągłe. Uwinięte w po-

duszkę związaną różowemi wstążkami, na główce miało czepeczek starannie wyszywany, w ręku srebrną grzechotkę z koralową rączką, kształtem dawnym, która bardziej jak pomnik dziedziczny, niż jak cacko, uważaną być mogła.

Znać było w ubiorze dziecka przywiązanie matki, wszystko na niém było białe, cienkie, miękkie, pieszczone jak ono samo, a matka, jakże go nosiła starannie, jak patrzyła pod nogi żeby się nie pośliznąć, jak szła ostróżnie, jak go starannie przyciskała, żeby się wyrываяć nie upadł!

— Patrz! odezwiała się siadając z nim na kanapie przy Edwardzie; patrz, biedny Feliś, jaki czerwony, pewnie chory!

Edward odepchnął ręką dziecko i sam się odsunął. —

— Dajże mi z nim pokój, rzekł kwaśno, czerwony, bo zdrów.

— Ale jak krzyczy!

— Słyszę to dobrze, odpowiedział Edward, i wartoby go złąd wynieść.

Marysia zamilkła i prędko do śmiechu i do łez zapłakała, a łzy jej popłynęły w poduszkę dziecięcia. Edward z ukosa spójrzył i nie wiem czemu, nicodgadnioném fenomenem serca, uradował się z jej łez. Musiał

być rad, że jój dokuczył nakoniec i anielską jój cierpliwość poruszył.

Milczeli oboje, on piórkiem w zębach poruszał.

— Czy nie wyniesiesz go złąd, zawołał po chwili.

Marysia nie odpowiedziawszy wyszła z nim do drugiego pokoju, a Edward znowu się zamyślił.

— Mógłbym jój co zapisać, gdyby mnie chciała uwolnić od siebie, ale nie — ona nie zechce.

Trzeba jednak pomyśleć o tém — Gdyby mi w czém zawiniła, miałbym powód przynajmniej — Ale w czémże? to niepodobna! zdaje mi się że mnie tak kocha — to jest po dziecku! — W niczém jój złapać nie można — Gdyby była niewierną — ho! ho! to być nie może — ona! ona! zimna jak kamień, coby ją złudziło? — niepodobna. Kończąc te urywkowe myśli Edward zaczął ziewać szeroko nie wiedząc co robić, potem chwycił książkę na stoliku leżącą. *Naśladowanie Chrystusa Pana*, rzucił ją o stół i ziewał znowu.

— Jak się ta lampa niegodziwie pali!

Zaczął poprawiać, aż od wysuniętego płomienia, szkło pękło. — Potem ziewał znowu wyciągał się na kanapie i zbłoconym butem,

malował na morowej poszewce poduszek jakieś hieroglify złego humoru. Nudził się widocznie i nie wiedział co z sobą zrobić — był to jeden z tych momentów życia, w których człowiek stoi na zerze i niby marznie, niby topnieje, nie jest ciepły ani zimny, żywy ani umarły, był to jeden z tych momentów, w których bezwątpienia Anglicy dusze swoje na świat tamten posyłają, był to spleen okropny.

Kto go miéwa, ten go zna, jest to najstraszniejszy podarunek przyrodzenia, chwila enigmatyczna niepojętych uczuć, rozprzęgłych myśli, w której wszystko cięży wszystko wkoło, wszystko jest złém i nudném, osobliwie ludzie i my sami sobie — jest to, jest to — jest to spleen jedném słowem. Bogaci i próżniacy miewają go często, ubodzy i pracowici nigdy. Jest to kompensacja za tysiąc innych chorób które się wyłącznie klasa biednych czepiają.

Potém Edward powalawszy kanapę, zaczął pluć na dywan i na stolik — szczególniejszy rodzaj rozrywki! — Potém założył ręce po nad głowę i chciał się zdrzémac, ale mu krzyk dziecięcia przeszkadzał.

Coraz się bardziej niecierpliwił; ile razy oczy zmrużył, tyle razy krzyk go budził i tę-

tnił mu w noszachi. Wstał więc i zamknął drzwi od dziecka, z trzaskiem — wrócił, siadł pod kominem i nogi wyciągnął.

Chciał drzémac znowu, a krzyk nie nstawał i zamknięcie drzwi nie nie pomogło. —

— Ach! co za głupie życie, pomyślał i zabięrał się wychodzić, kiedy Marysia weszła.

Stanał na progu.

— Czyś się już nim nacieszyła? zapytał ozięble.

Nie nie odpowiedziała.

— Siedziałam sam jeden pół godziny i nudziłem się, przecież on ma mamki, niańki, a ja prócz ciebie, nikogo.

— Ty masz siebie, czyż możesz się nudzić?

— Głupstwo, odpowiedział Edward, chciałbym przynajmniej wziąwszy cię dla siebie, mieć ciebie, a widzę że jesteś tylko niańką tego dziecka.

— Więc ci już na nie nie jestem potrzebna? zapytała Marysia cicho.

— Przynajmniej, kiedy tak będzie dłużej, odpowiedział Edward kładąc kapłusz — nie widzę jakabyś mi mogła zrobić przyjemność.

— Kocham twego syna!

— Ach! ale ja wiem o tém aż nadto!

czyż nie można go kochać z drugiego pokoju, nie siedzieć z tym sm..... dnie całe. Trzeba wiedzieć co się komu należy, mówił coraz żywiej, dla mnie jeżeli nie serce, to choć powierzchowne względy się należą i choć powierzchowna wdzięczność.

— O! ty mnie nie znasz! zawołała płacząc Marysia.

— Znam bardzo dobrze, rzekł Edward, że łyż umiesz wylewać na zawołanie, bez potrzeby i bez potrzeby chuchać na dziecko zdrowe i wesołe, znam cię że mnie nie kochasz, znam cię, że nie rozumiesz jak mnie dręczysz, jak mnie nudzisz, jakieś mi się na przykrzyła! Dobranoc.

To powiedziawszy trzasnął drzwiami i wyszedł, ona wybiegła i przez drzwi, cicho zawołała jeszcze.

— Bądź zdrów!

— Bądź zdrowa, odpowiedział zimno Edward. —

Nazajutrz obudził się wesoły, zdrów, jak zwykle po paroksyzmie spleenu, ale czoło mu się zaszpeciło wspomniawszy na wczorajsze obejście się z Marysią, ciążyło mu ono na sercu, bo w chwilach spokojności wewnętrznej kochał ją nałogowo. Prędko przypomniawszy sobie wszystkie szczegóły wczor-

rajszego wieczora, włożył ranny swój ubiór i zostawując kawę przy łóżku niewypitą, pobiegł do niej.

W pierwszym pokoju zastał wszystko jak było wczoraj, nawet lampa astralna stała jeszcze na stoliku i kanapa była powalana jak wczoraj i popiół od spalonych drewek na kominie i Naśladowanie Chrystusa Pana leżało w tém samym miejscu, w którym je rzucił wczoraj. W pierwszym pokoju nie było nikogo, poszedł do drugiego, bo wiedział że Marysia sypiała przy kolebce dziecka. Wszedłszy nie zobaczył jej, mamka tylko drzémała nad kołyską. —

— Gdzie pani? zapytał Edward.

— Wyszła gdzieś, odpowiedziała mamka łudząc się i zaczynając zaraz dziecko z nalogu kołysać, chociaż spało.

— Dokąd?

— Nic wiem.

Edward zamknął drzwi i wrócił do pierwszego pokoju, obszedł go w koło, stanął przed kominkiem. — Na kominie złożony we czworo leżał arkusz papieru.

— Co to jest? pomyślał i wziął go w rękę —

Na arkuszu ogromnemi niby drukowanemi literami, dziecinnym charakterem i dziecinną ortografią były te słowa. —

— „Bądź zdrow, biedny Feliś nie ma matki — Ja nie nie wzięłam z sobą — Bądź ojcem dla biednej sieroty! —”

— Co to znaczy! krzyknął Edward rzucając papier i pobiegł do drugiego pokoju.

— Dawno wyszła? zapytał mamki.

— O! dawno.

— Czy była ubrana.

— W sukni i chustce.

Wiedział już wszystko, wiedział że Marysia w skutek wczorajszej rozmowy ucickła. Ale co się z nią stało?—

Tak myśląc i biegając jak szalony, rwał z niecierpliwości włosy na głowie. — Bo Edward kochał ją po męsku, to jest chciał ją męczyć i nie chciał żeby się skarżyła, żeby czuła i unikała męki.

Zadzwonił. — koni!! krzyknął głosem okropnym. Pobiegł, wdział płaszcz, wziął worek, łajał że mu nie prędko zaprzężono — Siadł i pojechał.

— Dokąd? zapytał furman.

Przezuciemr jakimś, Edward tam kazał jechać, gdzie ją raz pierwszy zobaczył — na Antokol. —

Pojechali — zatopiony w myślach, nie-szczęśliwy bił się w głowę rękoma, rzucając się po karecie, nic nie widząc, nic nie czując,

prócz tego niepojętego w jego oczach wypadku.

Nagle powóz stanął.

— Czemu nie jedziesz? krzyknął stukając ręką w okno karety.

— Ludu tyle na drodze, że nie przejadę, odpowiedział furman. Edward wyrżał. W istocie mnóstwo ludu zebranego nad Wilją, czyniło przejechanie prawie niepodobułem.

— Coż to odpust gdzie? zapytał z gniewem, czy piątek TrynitarSKI?

— Ej nie! odpowiedział furman, jać wiem na palcach kiedy odpust, gdzie i jaki, ale to coś innego, musiał się kto pokłócić, albo pobić, bo tu lud skupiony w jedno miejsce. Widać może złodzieja złapali, albo warjata, bo jaćś z czerwonymi kołnierzami i z czerwonymi nosami uwijają się. Edward niespokojny wyrżał z karety.

— Co to jest? zapytał jednego z bliżej stojących.

— Jakaś dziewczyna utopiła się, odpowiedział mieszczanin obojętnie, wyciągnęli ją z wody, ale odratować nie mogą. —

— Otwórz! i Edward wyskoczył z pojazdu.

— Gdzie ona leży?

— W środku, ale się pan tam niedoci-

śniesz, właśnie ją tam doktorowie taczają i nacierają, ale nic nie pomaga.

Edward cisnął się w środek z okropnym przeczuciem, ale go nie puszczano. Ledwie po długiej walce w której stracił zegarek, chustkę i worek z kieszeni, docisnął się niespokojny do środka, spójrzył, oblał się zimnym potem i stanął wryty, blady, półżywy. —

Zeszepecona okropnie, sina, w mokrej sukni do ciała przyliptej leżała — biedna Marysia — w tej samej sukni, w której przyszła do niego, w tym samym obuwiu podartym — uboga, biedna, sierota. —

Edward stanął osłupiały, patrzył na nią i myślał.

— Jam to ją zaprowadził na brzeg Wilij i życia — ona nie żyje — ona umarła. —

A w koło niego gadano.

— Dla czego by się miała topić?

— Z nędzy.

— Ależ młoda, Mości Dobrodzieju! do diabła, ktoby jej chleba żałował, a dobroczynność?

— Dobroczynność, nie dla takich ubogich.

— Gdzież się utopiła?

— Tu w tym samym miejscu, patrzałem na to. —

— Czemuś nie ratował.

— Byłem w nowej kapocie, mógłbym ją umaczać, osiemdziesiąt mnie złotych kosztuje, zacząłem ją zdejmować, chciałem złożyć i oddać komu żeby jej popilnował, a ona tém czasem wzięwszy dwa kamienie w ręce, rzuciła się z niemi, ja dopiero w krzyk, przybiegli ludzie, wyciągnęli — nieżywa.

— Czy od razu przyszedłszy utopiła się.

— O nie! ja siedziałem tu na górze, ona przyszła, klękała na drodze, obróciła się do S. Piotra, myślałem że warjotka, patrzyłem. Potém zaczęła płakać, aż się mnie na łzy zbierało, alem kichnął tylko — Płakała okropnie.

— Trzeba było ratować, dostałbyś medal!

— Doprawdy?? dają medale? a warte one 80 złotych?

— Ba! a honor nosić medal!

— Do diabła czemużem tego wczoraj nie wiedział, diabli wiedzą na co ubrałem się w nową kapotę, gdyby nie ta kapota.

— Musiała być ładna!

— Jaka biała!

— Gdyby nie ta kapota!

— Już nie odratują, woda płynie uszami, oczami, nosem, gębą, aż strach.

— Krew puszczają — nie idzie! bądź zdrów. —

— Gdyby nie ta kapota!

— Czy nikt jćj nie znał. —

— Byłbym miał medal, gdyby nie ta kapota!

— Nikt pewnie! nikt!

Edward stał i słuchał, a szum tych wyrazów, zdawał mu się łoskotem przewracającego świata, bo nie miał serca zbrodniarza, i nie był przywykły do strasznych widoków. Stał i ruszyć się nie mógł, potem błady jak upiór, drżąc cały zbliżył się do doktora, który się tam z bisturem uwijał. —

— Czy nie ma ratunku, zapytał powolnie osłabionym głosem. —

— Ratunku! nie, już nie ma, nie żyje. Z początku jak ją wyciągnięto były sposoby ale nie było komu ich użyć. — Powiadają że ruszała się trochę jeszcze i dawała znaki życia! Zresztą to była rzecz nieunikniona miała organ samobójstwa nad uchem, niezmiernie rozwinięty.



IV.

ŚMIERĆ SZALEŃCA.

— — — Około czwartéj z południa Jan kazał sobie podać szkatułkę, w której były zebrane listy i pamiętniki całego życia. Chciał on jeszcze ostatnim spójrzeniem pożegnać te ślady swoich przyjemności, roskoszy i chwilowego szczęścia. Mileczący, bez łzy, ale okropnie spokojny, przeglądał wszystko z kołci — całe swoje życie. Wpadły mu naprzód w ręce pamiątki dzieciństwa, listy matki, ojea, braci, wszystkich których przed sobą potracił i z którymi teraz miał się połączyć. Potém pamiątki młodości i włosy piérwszój kochanki i czyste jak piérwsza miłość upominki zeschłych kwiatów i uszarpnięty kawałek jéj sukni. Wszystkie zdarzenia przeszłe stawały

przed nim tak żywo, tak mocno, tak wyraźnie, jakby im był przytomny jeszcze, nie prędko wychodził z tego złudzenia i przypominał sobie że wszystko przeszło, że trzeba było umierać!

Tyle rzeczy i wypadków umarło przed nim.

Listy, z całą świeżością stawiały mu przeszłe życie, listy które odbierał od rodziców krewnych i przyjaciół we wszystkich Europy stronach które zwiedził, listy na obcej ziemi z taką przyjemnością i łakomstwem pożerał, dziś jak kolumny nad gruzami stojące, wspomnienia i nic więcej — świadki życia, nie-mogące go powrócić. Strasznie rozdzierało się jego serce, razem odgrzebanych wspomnień tyle, zabijało go, tłumiło oddech. — Zimny pot zléwał skronie, ręce drżały, męczył się w obliczu dawnego szczęścia, którego nigdy tyle nie cenił, jak teraz kiedy miał utracić na zawsze. —

Bo wyrok śmierci na niego był nieuchronny — Jan wiedział że trzeba było umrzeć. Porozrzucawszy wszystko niecierpliwie, nie mogąc żadnego listu doczytać, żadnej pamiątki obejrzeć bez rozpacz i żalu, odrzucił wszystko od siebie i padł na łóżko.

Gdyby miał tzy, byłby płakał nad sobą. —

Długo tak siedział spoglądając na listy, uschłe kwiatki, więrsze ostygłe, podarte wstążek kawałki, rysunki i szpargały z ulubionych książek powycinane, patrząc na te nikczemne świadki swojego życia, które jednak przeżyć go miały, powtarzał — Trzeba umrzeć! — Uczyć się, patrzeć, doskonalić siebie — na co to wszystko, myślał gorzko, żeby zginąć nie doszedłszy końca nauki, nie zobaczywszy jak cząstkę przedmiotów widzenia godnych i po długich mękach z samym sobą: umrzeć nie poprawiwszy, nie poznawszy siebie. Gdybym miał żonę lub dziecię, myślał, dziecię! kogokolwiek związanego ze mną, o którym bym był pewien że mnie musi pamiętać, słodziejby umierać było. — W żonie zostałaby pamiątka życia, w dziecku cząstka mojej krwi i duszy, cząstka mnie samego. — Żałował, płakał, że nie miał dziecka, któreby mógł sierotą zostawić. Samolub!!

— Przyjaciele, mówił sam sobie, nie będą przyjaciółmi za grobem, syn byłby moim synem i po śmierci, żona, oddawszy się nawet innemu byłaby jeszcze moją, musiałaby pamiętać o mnie — o mnie pierwszym! — Nie mam żony ani syna, tylko przyjaciół, przyjaciół!

Tak się męczył do zmroku, aż póki zegar

na kominie stojący szóstej nie wybił. W ów-
czas Jan obrócił się żywo, zrzucił listy i pa-
piéry z kołdry którą był okryty i zawołał
ponuro.

— Trzeba kończyć! kto wie co będzie
po szóstej!

Zeschłą i drżącą ręką porwał dzwonek
stojący na stoliku, zadzwonił, dwóch sług
weszło, i doktor się obudził.

— Goście czy się schodzą? zapytał, wie-
czerza czy gotowa? wina czy przyniesione,
stoły czy nakryte?

— Wszystko gotowo, odpowiedział sługa.

Doktor przecierał oczy i stał naprzeciw
niego, patrzył na zegarek i na bladą twarz
chorego. —

— Dajcie mi ubranie, rzekł Jan.

— Radziłbym, przerwał doktor, nie my-
śleć o tém szaleństwie, leżeć spokojnie i przy-
wołać księdza — chociaż nie ma niebezpie-
czeństwa, lepiej się pojednać z Bogiem w cho-
robie, niż iść na huczną zabawę.

— Nigdyśmy się z nim nie kłócili, odpo-
wiedział Jan uśmiechając się. Daj pokój kon-
syljarzu, nie radz nic i zabaw się z nami;
co się tycze Boga i nieba, to do mnie należy,
myślałem o tém całe życie i wiem co zrobić
z sobą. —

Domawiając tych słów chory spuścił nogi na dywan otaczający łóżko, powoli słudzy go podnieśli i posadzili, kazał się umyć, ogolić i ubrać starannie, włożył swoje najświeższe suknie, najdroższe klejnoty, do których przywiązywał wagę pamiątek, na szyi zawiesił medalion z włosami ojca i matki i trzecimi jeszcze — nie powiem czyjemi. — Na rękę włożył pierścionek podobny do ślubnego, złoty i gładki, z cyfrą tajemniczą, głowę nakrył czapeczką, kazał się posadzić w poduszkach na krześle i zanieść do wielkiej sali, gdzie już na niego czekano. — Doktor szedł za krzesłem które słudzy nieśli, kiwając głową i ruszając ramionami.

Dziwne było wrażenie, jakie sprawiło, wniesienie pół umarłego gospodarza do sali. —

Sala oświecona przepysznie, ozdobiona zwierciadłami, kwiatami, pełna gości, oddychająca życiem, muzyką, wesołością, ucichła, zmartwiała, jakby w nią piorun uderzył, kiedy ten trup żywy jeszcze, blady, wyschły, z obłąkaniami oczyma, wniesiony został. Ucichła muzyka, światła zadrżały, woń kwiatów zdawała się trupim zapachem skalana, — śmierć w jego osobie, zajrzała wszystkim w oczy i straszne milczenie grobu rozciągnęło się po sali.

Chory spójrzał, przed nim stało kilkadziesiąt osób, z ukłonem niezgrabnym, z miną politowania i obrzydzenia, z uśmiechem przymuszonym, w milczeniu zabijającym — muzykańci szeptali patrząc na niego, kwiaty schylały głowy, światła mrugały, wszystko się poruszało w milczeniu, cicho, powolnie, tak że ten ruch zdawał się nieporuszeniem. Jego pokazanie się okamieniało wszystko, wszyscy patrzali na niego i nikt się nie zbliżał, z okiem wlepioném, zdaleka tylko, spoglądali na niego, jak na trupa rozciągniętego na wielkim stole w anatomicznej sali. — Przykro mu się zrobiło, odkaslnął i chciał mówić, ale głos słaby, w cichym szmerze gości utonął.

Przyjaciół Edward strojny, ale smutny, przybiegł do niego, ścisnął za rękę i zapytał. —

— Czy tak dobrze?

— Czemu goście milczą tak okropnie, zawołał Jan, niech się weselą, niech mu nie rozerwą. Wyglądają jak zabici. Każ grać muzykę, każ podać butelki, wniosę toast pożegnania. Trzeba ich upoić, widzę że póki trzeźwi, na nic, nawet na rozweselenie konającego się nie zdali. Stoją jak dziccy i milczą. — Podaj tu stół do kart, niech mi przyniosą szkatułkę z pieniędzmi.

— Chcesz grać? zapytał przyjaciel.

— Będę bank trzymał, odpowiedział Jan zimno, wszak i z kartami trzeba się pożegnać umierając. Tym czasem wina! wina!

Edward pobiegł, wystrzeliły korki, zahuczała muzyka, błysły światła, zapachniały kwiaty, rozmowy pourywane skłciły się znowu i wesołość odrastać zaczęła. — Wkoło Jana, ciekawych — młodych i starych wielki krąg zbierać się zaczął, jedni go pocieszali czyniąc mu nadzieję życia, drudzy litowali się w milczeniu, inni nawykni do pochlebstwa, łasili się przed nim i w obliczu śmierci — inni jeszcze śledzili pilnie każdy ruch jego i słowo, żeby mieli co nazajutrz roznosić po mieście. —

Jan spostrzegł dopiero po długiej rozmowie z wielą osobami, jak mało pociechy, ta wielkich nadziei uczta przynieść mu mogła? Ludzie otaczający go byli zimni, nie umieli nawet swego egoizmu pokrywać, swojego głupstwa w milczeniu utopić. Widział to i żałował żywych, dowcipnych, wesołych biesiad młodzieży *au Cadran Blew*, lub u *Very* w Paryżu, filozoficzno-szalonych, karczemnych uczt które z akademikami niemieckimi w Halli i Göttingie odbywał, żałował nawet biedny włoskich *conversazione* i hiszpańskich *tertulias* i routów Edyńburskich i łoży swojej

w *Drury Lane*, która mu się dawniej tak była naprzykrzyła wiecznóm powtarzaniem Króla Leara i Cezara — żałował wszystkiego, bo tamto wszystko miało życie, ruch, uczucie, a ta ucztła była martwa, zimna, smętarna, konająca jak on sam.

W kilka chwil przecie, wszystko skropione winem, odżywiać się zaczęło, muzyka głośniejsza, wolniejsze i dowiecniejsze rozmowy, woń kwiatów miłsza, połysk kryształów jaśniejszy, światła znośniejsze się zdały, ludzie i sprzęty i ściany sali i dusza Jana — wszystko ożyło.

Z tego toku trywialnego, z zimnego obejścia się, ze słów ważonych i mierzonych, oklepanych, bez znaczenia i bez myśli, powoli zaczęły się rodzić, ruchy, słowa, pomysły poetyczniejsze. — Nad głowami biesiadników zajaśniała gwiazda poczij i zapału i jej barwą niebieską wszystko się okrywać i złoć zaczęło.

Jan już nie tyle przeszłości żałował. —

Koło niego za stołem zarzuconym kupą złota, chociaż nie grał, usiedli znaczniejsi duszą i głową goście, rozmowa podsycana całą śmiałością człowieką, który się w obliczu śmierci, nieczego nie lęka, rosła, wrzała, wzno-

siła się i obejmowała świat ludzi, niebo i ziemię, przeszłość i przyszłość.

Jedni zasiedli za wielki stół do wliczerzy, drudzy zostali przy gospodarzu, ciągnąc dalej rozpoczętą rozmowę. Im więcej próżnych butelek wynoszono z sali, tém wszystko żywszém się pokazywało, nie było tylko jednej rzeczy najbardziej ożywiającej, nie było kobiety, któraby błysła suknią powiewną, wśród tych czarno postrojonych figur, nie było kobiety któraby rzuciła słówko i uśmiech figlarny do rozmowy, jak kwiatek do bukietu z liści. — Nie było kobiet, wszyscy czuli ten brak, a Jan najbardziej, trzebaż było żeby się z żadną z nich w imieniu płci całej nie pożegnał i umarł zapomniany od nich, jak żył nie kochany od żadnej? —

Wśród powszechnego umilknięcia sam Jan wzniósł toast pożegnania, chcąc go usłyszeć uciszyli się wszyscy, a głos jego słaby drżący, na chwilę panował nad uciszonymi.

— Pożegnanie na zawsze, rzekł Jan — Śmierć idzie, zbliża się, czuję ją w piersiach moich jak się wyciąga, jak zimny dreszcz sygnie w serce, jak ścisła myśli i paraliżuje mowę — płynie we krwi, oddycha w powietrzu. — Będziecież mnie pamiętać jak umrę?

Kilkanaście tylko głosów szepnęło po cichu.

- Będziemy!
- I wspomnicie o mnie?
- Wspomnim!

Cichość okropna towarzyszyła temu dziwnemu obrzędowi, chory umoczył sine usta w kielichu, wszyscy spełnili toast pożegnania, rozmowy znowu się poczęły i ruch życia popłynął po sali.

Północ zastała jeszcze wszystkich u Jana nad stolikami kart, nad butelkami, nad rozmową. Jedni spali pijani, inni bełkotali nie wyrozumiale, inni żywo i nadto szczerze rozprawiali, inni milczeli nie chcąc pokazać, że im się język płacze, inni patrzyli na Jana, dopijając jego Pedro Ximenes i stare węgierskie. —

Muzyka grała, a szum wprzód tak żywy, ogromny, ciągły zmniejszył się powoli i zamienił w nagłe i przemijające krzyki, kwiaty więdły, światła gasły, północ biła wielkim głosem, powoli, poważnie, strasznie jak ostatnia godzina. — Mimo odgłosu muzyki i szmeru rozmowy, Jan usłyszał ją i przywołał doktora.

— Weź mnie za puls, rzekł, czy długo jeszcze żyć będę, jak ci się zdaje.

Doktor winem rozgrzany i szczerzy coraz,

spójrzał, wziął go za rękę i obojętnie odpowiedział.

— Kilka godzin. Odwrócił się i odszedł.

— Chciałbym już to oczekiwanie skończyć, rzekł Jan zmienionym głosem. To okropne! kiedy zaczynam słowo, zdaje mi się że go śmierć na w pół w gardle mojem przetnie i śpieszyć się muszę. Gdyby losy świata od tego słowa zależały, mógłbym nie miał czasu i siły wymówić go! — to okropne! stać na przeciw śmierci tuż, blisko jak skazany pod toporem, jak ptak pod jastrzębiem — czekać i czekać. —

Zakrył oczy rękoma — pijani patrzali na niego osłupiałym wzrokiem, z głupim śmiechem. —

— Teraz jedna prośba do panów, odezwał się chory, podnosząc się trochę. — I wszyscy skupiać się koło niego zaczęli. Służący czarno ubrany wniósł na dany znak srebrną wazę przykrytą i postawił ją przed nim na stole. —

Chory, wyciągnął rękę i tak mówić zaczął powoli, nśmiecchając się, kaszląc i przestając aby odpocząć. —

— Od dzieciństwa do grobu, myśl i żądanie nieśmiertelności idzie z człowiekiem. Dzieci nie rozumieją z początku śmierci, nie

wierzą w nią i sądzą że jest chyba bajką na postrach wymyśloną. Młodzi roją nieśmiertelność sławy, starsi nieśmiertelność duszy, zgrzybiali nieśmiertelność pamięci na ziemi i zmartwychwstanie cielesne. — A w każdej myśli o nieśmiertelności jest ukryta myśl o ziemi i ciele, bo ciało ożenione z duszą, nierozdzielne od niej, miesza się mimowolnie do całych jój losów. —

Niezaspokojeni nadziejami nieba, ludzie chcieliby złożyć kości swoje w miejscu spokojném, świętém, gdzieby ich często przypominano i opłakiwano. W chwili skonania, dusza najbardziej przekonana o nieśmiertelności swojej, jeszcze pragnie uszanowania od ludzi dla swojej rozbitej łupiny. Dusza idzie do nieba w nadziejach tylko i w wierze, chce być pewna siebie i smuci się myśląc że może zginąć. —

Cóż pociesza niedowiarków przy zgonie? — los ich ciała, bo nieśmiertelność ciała, jest niezaprzeczoną, oczywistą, pewną. Ciało po śmierci, utraci tylko związek swoich części, rozdzielią się one, rozbiegną, ale nie zginą, a może w milionach wieków, które przelecą jak chwila, zejdą się, połączą i będą żyć znowu. Podobna myśl była Stoików, którzy ciałom i duszom obiecywali powtórzenie ich

życia, w pewnych lat przeciągach, aż do nie-
skończoności.

Możeż kto bez obrzydzenia, bez wzdry-
gnięcia, spojrzeć na siebie i wspomnieć że
jego ciało, zgnije przywalone ziemią i kamie-
niem, roztoczone od robactwa, zmięszane
z kośćmi zwierząt i ich ściervem? komuż nie
jest przeciwna ta myśl upadlająca!

Dawni, kiedy palili ciała, czynili to dla
poszanowania ku nim, ażeby nie guły jak
zwłoki zwierząt, piękniejsza jeszcze od téj,
wielka i górna była myśl Artemizij, która
nie chcąc Mauzola oddać ziemi, pochowała
męża w sobie, jak Kleopatra sławną perłę
swoją. Egipcyanie balsamowali starannie, cia-
ła swoich królów, mędrców, lubych sobie
osób, zachowując je od tego okropnego pod
ziemią pobytu, z którym się myśl oswoić nie
może.

Gwebry mieli w grotach podziemnych
opartych o ściany, jakby zmartwychwstania
czekających, swoich współczcieli. I oni
wzdrygali się przed myślą pogrzebu. — Chiń-
czycy za najdroższy skarb chowają w domach
osobnych, często u łóżek, w izbach, ciała
ojców, żon, braci, z którymi nie mogąc żyć
jak dawniej żyli, chcą być przynajmniej ra-
zem z niemi. My tylko rzucamy się do ziemi,

obojętni o ciało, pewni swojej duszy — ale katakomby dawnych chrześcian, Padewskie kapucynów korytarze obstawione szkieletami, nawet sklepy podkościelne, lepsze są od wilgotnej ziemi. — Któż z was wspomniawszy na grób, na tę ciasną zagrodę w której trzeba przespać wieki, nie wzdrygnie się mimowoli. Swobodnej duszy przykro wspomnieć o tém więzieniu tak ciemném, pokrytém ziemią, wkopaném w ziemię, zapieczętowaném, zabitém, żeby do niej oko i łzy ludzkie nie doszły i pamięć nie dobiegła. Ja téj myśli znieść nie mogę, ja nie chcę być zamkniętym. i dla tego właśnie, mam was prosić o jedną łaskę.

Wszyscy milczeli i patrzyli na niego z mieszaniną zadziwienia i przestachu, nikt odezwać się nie śmiał, a Jan powoli suchą rękę wyciągał do przykrycia srebrnej wazy.

Ciekawi, końca czekali i ukradkiem spoglądali po sobie, chcąc się przekonać, że to wszystko nie snem było.

— W rok po moim pogrzebie, mówił Jan, kiedy z mojego ciała kości tylko zostaną suche, odkopcie mnie i uwolnicie z tego więzienia. Niech każdy z was na pamiątkę dla mnie jedną z kości moich weźmie i schowa, ty Edwardzie najdawniejszy mój przyjacielu

weźmiesz głowę moją. Mów, może niechcesz, może się brzydzisz, może się boisz? mów, bo w takim razie przekażę ją komu innemu.

— Wezmę ją, odpowiedział Edward.

— I zachowasz do śmierci i nierozdzielisz się z nią nigdy?

— Nigdy!

— Wy jeśli jesteście memi przyjaciółmi i umierającemu chcecie wyświadczyć najdroższą i ostatnią przysługę, rozbierzcie resztę moich kości. — Głowa więc należy do niego, o reszcie los rozporządzi. Chcecie panowie?

To mówiąc odkrył powoli, przykrycie srebrnej wazy i ukazało się w niej, mnóstwo zapisanych karteczek.

— To są losy — ciągnijcie.

Wszystcy milezeli, niepewni, zmięszani, kilku wyniknęło się eo prędkiej, a ci którzy zostali, nie wiedzieli co począć, nie śmieli zasnąć odmówieniem, nie śmieli przyjąć tak dziwnego składu. — Coby na to powiedziały żony, matki, bracia, ojcowie, kochanki?

Lecz jeden szepnął w tłumie.

— Przyrzeczmy i ciągnijmy losy, wszak przyrzec można, nie mając zamiaru dotrzymać?

Zrozumieli wszyscy te słowa i myśląc tylko jakby się pozbyć gospodarza i jego dziwnych żądań, posunęli się do wazy. —

Chory rad był, oczy jego świeciły, kazał podać kielichy, nalewać wina, grać muzyce, a losy ciągnięto tym czasem.

Na karteczkach spisane były z doskonałą Ossologii znajomością, wszystkie kości, kostki, kosteczki, ekzekutorem téj ostatniej woli wyznaczony był lekarz i chirurg.

Dziwne były miny gości, którzy w pół rozweseleni winem, wpół myślą tą przybici, kręcili się, gadali śmieli z jakimś przymusem i niesmakiem obojętnym każdy chował karteczkę do kieszeni, wyjmował ją, odczytywał, rozważał, myślał, pytał o wytłómaczenie nazwiska.

Po rozebrawiu losów wszystkich, kiedy się jeszcze znaczna część kartek na dnie wazy została, ciż sami goście ciągnęli jeszcze po drugi raz, a resztę pozostałą wziął Edward.

Była godzina druga prawie, kiedy się to wszystko skończyło, biesiadnicy jedni usypiać, drudzy wpół pijani, wpół rozgniewani tą loterją, zaczęli się rozechodzić do domów. Kilkadziesiąt osób jednakże zostało jeszcze i Jan siedział w swoim krześle, a doktor i Edward nicodstępowali go. Zaczęto roznosić kawę czarną, herbatę, poncz i inne napoje.

Ci którzy jeszcze nie spali, lub przebudzili się, rozmawiali tylko o loterij, spogląda-

jąc na gospodarza który, za stolikiem zasypa-
nym kupą złota, poglądając na wazę i przy-
jaciela, siedział w krześle, przymykając oczy
jak do snu i otrząsając się, aby nie zadrzémac, -
nie chcąc we śnie utopić ostatnich życia go-
dzin.

Znużenie malowało się na wszystkich twa-
rzach, sen ciążył na powiekach, nudy na
ustach, jeszcze muzyka grała i światła gorza-
ły, a biesiadnicy schylali głowy i drzémali
przed wazami zapalonego punclu, oświecają-
cego w ciemniejszych kątach, blade, sine i
czerwone ich twarze.

Nareście Jan, Edward, doktor i wszyscy
ponachylani w krzesłach, na stołach, kanapach,
na ziemi, poopierani jedni o drugich, o ściany,
o sofy, pozasypiali. I muzycy rzuciwszy flaszki,
które wypróżniali, pokładli się zmęczeni na
ławach. Była już trzecia, lecz noc ciemna
jeszcze, chmury wlokły się po niebie, kilka
kropel wielkich deszczu uderzyło dzwicząc
o szyby okien, grzmot runął w oddaleniu po
obłokach. —

— Wszyscy spali.

Sny ich dziwne wystawiały im jeszcze
dalszy ciąg biesiady i okropną Loterję, cięż-
kie westchnienia wyrywały się z piersi, a sen
i wino ołowiem ciążyły na ich piersi i gło-

wie i dusiły ich. Krzyk, wrzask, światło — nagle oświecające salę obudziły wszystkich razem.

Porwali się i stanęli osłupieni, wybledli, bezsilni.

W cknach sali błyskały płomienie, sufit i ściany gorzały, słysząc było trzask belek, krzyki pogorzalców i ratujących, pożar był wokoło, pożar był w domu.

Przestrach, niepewność, rozpacz objęła wszystkich razem z płomieniem, gdzie spojrzeli — ogień był, we drzwiach, w oknach z góry, u dołu, nad głową i pod nogami. —

Chcieli uciekać wschody już były spalone, krzyczeli, wyrrywali włosy z głowy, latali popychali się, bili; rozespiani myśląc jeszcze że ten koniec uczty tak straszny, jest tylko sen —

I Jan obudził się, spójrzał i zobaczył wśród kłębow dymu, płomieni wijących się po suficie i ścianach, swoich gości rozpierzchnionych, skaczących przez okna, popychających jedni drugich, załamujących ręce, wśród zamieszania wrzasku i tysiąca scen okropnych trwających chwilę i niknących w dymie i płomieniach. — Jeden tylko ukląkłszy na środku sali, modlił się z okropnym uczuciem bojaźni, łzami i rozpaczą; nie wiedząc jak się

ratować. Ten miał żonę i dzieci i był stary — żegnał się szkaplerzem i płakał. Luni młodszy, łamali karki skacząc z okien, lub spadali pchając się na drabiny które im z ulicy podawano.

Próżno wołał Jan o ratunek, nikt na niego nie patrzył, nikt go nie słuchał, każdy własnem niebezpieczeństwem zajęty, biegł, leciał, lub na miejscu stojąc rozpaczał. Głos pożaru, syk płomieni, trzask belek, pomięszany z wrzaskiem ludu na ulicy, pod oknami, głuszył jego krzyki bezsilne.

Doktora i przyjaciela nie było koło niego, sług nie było — nikogo — kilka tylko jeszcze postaci uwijało się po sali, wśród płomieni, które coraz bliżej były i już ryły dach, który się z trzaskiem załamywać zaczynał — ci co pozostali nie szli do niego, biegli siebie ratować.

Zniknęła tylko z przed niego, waza i kupa złota, które w zamieszaniu jakiś przewidujący człowiek ocalił z pożaru — dla siebie — złoto ocalono, jego nikt nie chciał ratować.

Huk coraz się powiększał, płomienie coraz jaśniej błyskały, dym gęściej buchał, a krzyki z ulicy coraz mniej słyhać było, co chwila, pożar zbliżający się do uszu Jana, głuszył je. —

Wkrótce nikt w sali nie został — nikt,

okna wybite, podłoga zasłana szczątkami półmisków, krzesel, butelek, kielichów, wazonów powywracanych, obrazy podarte, skrzypce i flety rozbite — gruz samy zostały — a nad niemi festony z płomieni, wieńce rozżarzonych węgli, zasłony z niebieskiego dymu nakrapiane iskrami. —

Wśród tego zniszczenia — Jan sam jeden, jeden — on co przed chwilą miał tylu przyjaciół, tylu towarzyszy do wesołości, do śmierci nie znalazł nikogo — konał na stosie jak Sardanapal, okropniej niż on, bo sam jeden.

Bezsilny, przełęczony, z okiem wlepionym w ogień pożerający całą budowę, siedział w krześle. Wiatr poddymał jego suknie, pędził mu w twarz iskry i dym gęsty. — Przepalona podłoga zawaliła się i upadła w jednym końcu sali, w drugim gdzie stało krzesło Jana, jeszcze się trzymała.

On siedział nie mogąc się ruszyć — próżno patrzył i wyglądał czy kto nie idzie — nikt nie przyszedł.

A pożar co chwila zbliżał się ku niemu, sunął się aby go pochwycić, spalić w najokropniejszych męczarniach, długiego częściowego zgonu. Nie takiej śmierci Jan czekał, tamta była piorunowa, prędką, tak jak kat miała go udręczyć, nimby go zabiła, zgnić

go, i każdego muszkuł, każdą kość, każdą część ciała pozrzeć osobną śmiercią, z osobnemi bólami i cierpieniem.

Zebrał resztę sił jakie mu pozostały, chciał się podnieść z krzesła, na którym go niemoc przykuła, widział jeszcze za sobą drzwi od innych niezapalonych pokoiów — mógł uciec oknem może, rzucić się, spróbować. — Scisnął ręce, wysilił się, podniósł głowę, zachwiał się i upadł nazad na krzesło — nie miał już siły.

Trzeba więc było czekać śmierci przykutemu na miejscu, bez ratunku, bez nadziei ocalenia — patrzeć na swoją śmierć i czuć ją.

— Czemuż wprzód godziną nie umarłem — wołał ciężko obracając głowę i widząc płomień przesuwający się już pod krzesłem, na którym siedział.

Znowu chciał powstać, zrzucić się, upaść i zabić się prędzej przynajmniej, lecz i tego zrobić nie mógł — nie miał siły. —

A pożar pędzony wiatrem, podsycany piorunami, skropiony deszczem, szedł po ścianach, topił, palił, niszczył, wywracał. —

Usłyszał Jan nad swoją głową łamiący się dach i padający z łoskotem na sufit, sufit się przełamał i nowy wytrysk płomieni wskoczył tym otworem. Rozpalone belki, padły u nóg jego, głównic potoczyły się pod krze-

sło, węgle i iskry rosprysnięte uderzyły go w twarz, skoczyły na suknie.

Nogi krzesła i ubranie jego palić się zaczęło, uciekać — nie miał siły. —

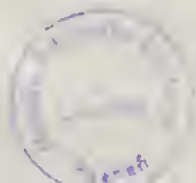
Co chwila rośło niebezpieczeństwo, płomień silniej obejmował, palił, suknie gaszone próżno płonęły, podłoga paliła się pod nogami i włosy jego na głowie.

Znowu podniósł się chcąc powstać i uciekać i padł na krzesło znowu, ale już krzesło przepalone nie wytrzymało jego ciężaru, pękło i padł z nim razem na rospaloną podłogę, twarzą w płomienie.

Chwilę jeszcze okropną bezsilnemi rękoma jęcząc wygartywał się z ognia i taczał się po nim, potem podłoga uchylać się i zginać zaczęła, pękać i walić się pod nim, płomień oblał go w koło, z oddechem zamiast powietrza, wpadł w piersi i piersi spalił. —

Potem runęło wszystko i on z belką na której się uczeplił — padł, a nad nim zawalił się dach i dom cały i przykrył go pod gruzami na wicki. —

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

I. Wycieczka na wielki świat wielkiego miasta Maciek i Maciuś

I. Bogaty i Ubogi	1
II. Maciek i Maciuś . . .	8
III. Muchomor i Mucha . .	12
IV. Księżyc i Kot	20
V. Ludzie i Koty	27
VI. Jeszcze wcześniej . . .	30
VII. Herbata z Cytryną i Spacer	38
VIII. Posiedzenie na dachu .	45
IX. Daléj	53
X. Wojna domowa	60
XI. Daléj	72
XII. Dwie przysięgi	76
XIII. Pan Hrabia	82
XIV. Dom	95
XV. Pierwsza i ostatnia próba	100
XVI. Gospodarstwo Adeli . .	108
XVII. Powrót do domu . .	124
XVIII. O moja matko! . .	132
XIX. Skutki	139
XX. Epilog	142

II. Wycieczka do Anglij, Hogarth, The Rakés progress

III. Życie Sięroty	147
IV. Śmierć Szaleńca	157



Biblioteka Raczyńskich

JK 442



JK0442